BIBLIOTEKA DLA MŁODZIEŻY

SIEROTA

przełożył

Bolesław Dunin

Druga edycya

przejrzana i poprawiona

WE LWOWIE

Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta

A. PRZESZLAK LWÓW.

BIBLIOTEKA DLA MŁODZIEŻY. TOMIK 1.

Fr. HOFFMAN.

SIEROTA

PRZEŁOŻYŁ

BOLESŁAW PUNIN.

Wydanie trzecie przejrzane i poprawione.

Z czterema rycinami.

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.
1906.

Printed in Poland

Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku Jagiellońskim.

I.

Całe nasze Podkarpacie obfituje w prześliczne widoki, nie mając zupełnie cech charakterystycznych cudzoziemskich stron. Wszystko co tu spotykamy jest swojskie, rodzime; nawet najuboższe osady, maluczkie i schludne, mile się przedstawiają oku podróżnego, a nawet takiego zajmują, co przywykł deptać zagraniczne szlaki, i lubi podziwiać wszystko na co tam oczy jego patrzeć zwykły.

W naszych osadach choć nie widać tej zamożności, bijącej w oczy kosztownemi budowlami i zakładami fabrycznymi, ale za to w naszym kraju spotyka się wszędzie lud spokojny, pobożny i pracowity.

Kraj nasz rolniczy, i dla tego samego chleba nie braknie nikomu, kto chce na niego pracować. Nawet nie wielki kawałek ziemi wyżywi rolnika z rodziną, a od czasu uwłaszczenia kmiotka lepiej on daleko uprawia dziedzictwo swoje niż dawniej, gdy był tylko czynszownikiem, i

pieniądzmi lub własną pracą wypłacać się właścicielowi ziemi, za jej czasowe używanie.

Z uwłaszczeniem kmiotka nastąpiło prawo dzielenia gruntów, prawo spadkowe, i wszelka dowolność gospodarowania swą własnością. To też, rozrodzona rodzina wieśniaka, nie mogąc dzielić na drobniuchne cząstki swego spadku, najczęściej go odprzedaje komu innemu, i gotowemi pieniądzmi się dzieli.

Na samym końcu jednej takiej podgórskiej wioski, stała niewielka chatka, otoczona ogrodem warzywnym. W podwórku była ogromna lipa, której rozrosłe gałęzie cień swój roztaczały szeroko nad tą wiejską siedzibą, pod lipą stała przybita gruba dębowa ława, pod którą dawny gospodarz, siwy starzec, otoczony liczną rodziną siadywać lubił, poglądając z ukontentowaniem na igrające po trawniku swoje wnuczęta.

Trzech synów żonatych i dwie córki zamężne, pracowały na ojcowskim zagonie, i wszystkim im działo się nie źle, chleba nie brakowało nigdy, dobytek się mnożył, dziatki rosły zdrowo i szczęśliwie. Najczęściej wszystkie otaczały dziadka, który ich uczył bojaźni bożej, poszanowania rodziców i starszych i miłości bliźniego.

W lecie pod lipą, w zimie przy ognisku chatki, stary powierzywszy zarząd gospodarstwa najstarszemu synowi, sam tylko, dziatwą się zajmował. Trwało to tak aż do jego śmierci, po której rodzeństwo nie mogąc dzielić się ziemią, gdyż każdy jej kawałek, pole, łączkę i ogród na pięć równych części dzielić i na każdym kawałku ziemi, osobneby gospodarstwo zakładać musiano, coby było również niedogodnem, ułożyli się wzajemnie, aby całą ojcowiznę sprzedać i podzielić się po równej części pieniądzmi i pozostałym dobytkiem.

Nikt się jednak na razie nie trafił, coby tę posiadłość chciał kupić. Gospodarze tej wioski, mając każdy własny ziemi kawałek, nie potrzebowali nabywać na samym końcu wioski leżącej sadyby, nadto żaden z nich tyle nie miał pieniędzy ile wynosiła jej wartość. W końcu roku jednak, przyszła do wioski obca jakaś niemłoda już kobieta, a dowiedziawszy się, że tu jest do nabycia sadyba gospodarska, zgłosiła się z chęcią zakupienia. Obejrzawszy ją więc dokładnie i gdy się jej spodobała, nie wahała się, tylko dobywszy z podróżnych węzełków pieniądzy, żądaną kwotę, co do grosza wypłaciła.

Nikt tej kobiety nie pytał zkąd przybyła, ani jak tu gospadarzyć będzie, mając tylko małego chłopczyka Fredzia przy sobie. Osiadła więc na tem nie wielkiem wprawdzie, ale na wiekową kobietę za ciężkiem gospodarstwie; sąsiedzi widząc, że nikt z nią więcej oprócz dziecka nie zamieszkał w chatce, dziwili się temu i ciekawi byli prowadzenia tego nowego gospodarstwa.

Staruszka przyjęła sobie tylko do pomocy jednę ubogą, nie młodą już kobietę, która pasła jej krowinę, skopała i zasadziła ogród warzywem, przynosiła z blizkiego źródełka wody i jeść im ugotowała. Łączkę staruszka zostawiła na swój użytek, aby na zimę mieć paszę dla jednej krowiny, zaś pole oddała ludziom pod zasiew zboża, którego część dla siebie na chleb zamówiła. Tak więc urządziwszy swoje gospodarstwo, oddała się zupełnie wychowaniu chłopczyka, dla którego zawsze najtkliwsze okazywała przywiązanie.

Ławeczka pod lipą, najulubieńszem i zwykłem dla niej była siedzeniem przez dzień cały, tu bowiem, promienie słońca choćby w dzień najskwarniejszy, przeniknąć nie mogły, tak były gęste jej gałęzie, tu nawet sługa zwykle przynosiła jej obiad, a często nawet i wieczerzę. Fre-

dzio około staruszki bawił się dzień cały, nawet sąsiadów dzieci schodziły się do niego, czego staruszka nie broniła wcale. Chłopczyk nazywał ją babunią. Co się z jego rodzicami stało, że on przy starej Małgorzacie się wychowywał, czy żyli, o tem nikt niewiedział i Małgorzata o tem nie wspominała wcale. Tak żyła w tej wiosce od lat już kilku, Fredzio podrastał, babka zaczęła go posyłać do szkółki parafialnej, dokąd z początku, zawsze go odprowadzała sługa, a w końcu chłopiec sam już chodził.

Nauka szła mu łatwo, gdyż był roztropny i pojętny. To mu tylko przykro było, że rówieśnicy, choć go wszyscy polubili, nie nazywali inaczej jak cygańskim wnuczkiem. Wprawdzie rysy i cera starej Małgorzaty, bardzo były podobne do tego koczującego ludu, chłopczyk jednak miał płeć zupełnie białą i rysy twarzy miłe, postać tak wdzięczną i udatną, a obejście z rówieśnikami swoimi tak grzeczne i uprzejme, że gdyby nawet to prawdą było, że stara Małgorzata było cyganką, to tak wielka między nią a Fredziem była różnica, że go nigdy za rodzonego wnuka uważać nie można było. Lecz starość ma swoje prawa, nie tylko rysy twarzy,

lecz cała postać człowieka, zmienia się tak dalece w starości, iż rzadko kiedy się zdarza, by twarz osoby podeszłej przypominała nawet tę urodę jaką człowiek jaśniał w swojej młodości. Być więc bardzo mogło, że stara Małgorzata nie była cyganką, a jest rodzoną babką tego ślicznego chłopięcia.

Często żalił się na to babce swojej chłopiec i mówił, jak wielką ma przykrość, że jego towarzysze szkolni, jakoteż wieś cała nazywała go cygańskim wnuczkiem. Małgorzata słysząc te jego skargi, zawsze mu powtarzała: Bądź tylko dobrym a to nigdy troszczyć się nie powinieneś, jak cię nazywają' nie nazwisko bowiem, ale postępki tylko zdobią każdego. Im bardziej się z niemi spierać będziesz, tem bardziej ci dokuczać będą twoi towarzysze. Jak zaś zobaczą, że na to nie zważasz i na nich się nie gniewasz, prędko zaprzestaną tej swawoli. Zresztą i cyganie są ludźmi! a wcale cygańskim nie jesteś dziecięciem. Małgorzata zawsze uspakajała chłopca, który z natury łagodnym będąc gniewać się prawie nie umiał, to też tą łagodnością, rozbrajał zawsze swoich towarzyszy, że

najzłośliwsi nawet, widząc, że mu tem nie dokuczą, zaprzestali go tak nazywać.

Tak upłynęło chłopcu szczęśliwych lat kilka. Był już wyrostkiem, zawsze pod okiem i pieczą Małgorzaty, nie troszczył się o swoją przyszłość. Przeszłości swojej nie znał, i nie pytał się nigdy o nią. Tak mu dobrze było z kochającą go babką, iż mu się zdawało, że zawsze tak będzie. Nachodził jednak czas, w którym Fredzio miał ujrzeć zachmurzające się nad sobą niebo, zbliżała się bowiem chwila, że zostanie sam jeden na ziemi. Stara Małgorzata zaczęła zapadać na zdrowiu. W początku tej choroby mogła jeszcze parę godzin w dzień przepędzić na ulubionej ławeczce pod lipą; później zaś nie opuszczała już łóżka; chłopiec nie odstępował jej ani na chwilę. Nie wyobrażał sobie jednak by ta choroba przejść nie miała, by się zakończyć mogła śmiercią, której nawet nie przewidywał wcale. Widział w niej osłabienie, powiększające się z każdą chwilą, boleści jednak nie czuła żadnej a umysł miała tak przytomny jak zawsze. To też wielkiego smutku na twarzy widać nie było.

Jednego dnia Małgorzata chciała choć chwilkę posiedzieć w ulubionem sobie miejscu, i choć

siły nie miała, aby przejść pod lipę, kazała się iednak tam zaprowadzić. Fredzio z pomocą starej sługi urządziwszy dla niej z poduszek na ławeczce wygodniejsze siedzenie, z trudnością zaledwie zaprowadzili tam Małgorzatę. Usiadłszy, rzuciła okiem na około siebie, jakby się chciała po raz ostatni napatrzyć tej okolicy w której spokojnie ostatnie lata przeżyła; w końcu zwróciła oczy swe na chłopca i wpatrując się w niego, łzy się w nich ukazały.

Chłopczyk widząc to, nie mógł sobie zdać sprawy, coby to oznaczać miało; jaki mógł być powód smutku babki, której płaczącej nigdy nie widział. Posmutniał także, i z czułością koło niej tulić się zaczął, dopytując się z troskliwością o przyczynie jej smutku.

Czego płaczesz babuniu? mówił do niej. Co ci jest? powiedz mi proszę. Wszakże się nie poczuwam, abym ja był przyczyną łez twoich.

Nie — mój Fredziu, nigdyś mnie nie zasmucił! nigdy! Nie tego płaczę, sam widzisz, żem od tak dawna chora i wiem z pewnością że to zbliża się ostatnia godzina życia mego, żal mi tylko, że ciebie samego zostawić mi przyjdzie na świecie. Niemam komu ciebie powierzyć! a tyś

tak młody jeszcze, że się obawiam, jaką sobie dasz radę na świecie.

Niezmiernie zdziwił cię chłopiec tą mową starej Małgorzaty. Nie zdawało mu się nawet, aby ona umrzeć kiedy miała. Dlatego patrzył wielkiemi oczyma na nią, jakby nie pojmował, co ona do niego mówiła. Czyż ty umierasz babuniu? zawołał przestraszony. Choroba twoja przejdzie powoli, i znowu będziemy tu razem, pod twoją siedzieć lipą, i będziesz mi opowiadała tyle ładnych rzeczy, jakto zawsze czyniłaś, gdy byłaś zdrową.

Nie — mój Fredziu! Nie łudzę się wcale nadzieją, abym żyć mogła dłużej. Dlatego chcę właśnie teraz pomówić z tobą wiele, po raz ostatni: a ty zapamiętaj dobrze wszystko co ci powiem.

Pamiętasz dobrze, jak ci przykro było, gdy ciebie wszyscy nazywali cygańskim wnuczkiem, od czasu jakeśmy tu osiedli. Że nim nie jesteś, tom ci już dawno powiedziała. Lecz teraz powiem ci moje dziecko, że ja jestem w istocie z cygańskiego rodu, a twoją nie jestem babką, choć cię sama wychowałam. Długa to historja, i dlatego, jeszcze raz ci powiem, słuchaj dobrze

i zapamiętaj słowa moje. Mogą one wielki wpływ mieć na dalsze kroki życia twojego, które jako sierota po mojej śmierci, sam stawiać będziesz po tym szerokim świecie. Mam zupełną nadzieję w miłosierdziu Bożem, że kroki twoje wspierać będzie a o co błagam codziennie, i tam gdy pójdę, błagać Go nie przestanę. Jego, jedynym twoim opiekunem zostawiam tu na ziemi. — I ty sam błagaj Boga o to, gdy tu sam zostaniesz i nie zapominaj nigdy o tem co On ludziom nakazał, aby czynili.

I starą Małgorzatę i przerażonego chłopca rozrzewniły te słowa, więc musiała przestać mówić dalej, jakby dla zebrania myśli swoich do dalszego opowiadania. Potem otarłszy łzy, tak dalej mówić zaczęła:

Wszystkim słowom moim wierzyć powinieneś dziecko moje, bo stojąc już nad grobem, kłamać nie mogę i dla samego ciebie, nie powinnam. W istocie, jestem cyganką. Od dzieciństwa mojego, włóczyłam się po świecie z taborem cyganów, którzy nigdzie stałego nie mają siedliska, i przywykłam tak w końcu do tego rodzaju życia, że nie pojmowałam nawet, jak można żyć inaczej. Całe życie moje z niemi spę-

działam. W końcu syn mój Bartłomiej został naczelnikiem bandy, któremu wszyscy, nie wyjmując nawet rodzonej matki, posłuszni być musieli. Człowiek to był okrutny i srogi. Nie lubiłam go wcale, choć tego nie okazywałam nigdy jako dla naczelnika, który samowładnie rozporządzał nietylko mieniem każdego, lecz nawet życiem samem, bo w każdej chwili, gdyby mu przyszła ochota, zabić mógł człowieka, a niktby z podwładnych jego, nie śmiał się temu sprzeciwić. Ja sama choć matka jego, ani władzy żadnej, ani wpływu mego wywierać na niego nie mogłam; choć wszystko co czynił, nie mogło mi się podobać; i człowiek tak dziki jak był mój syn, nietylko, żeby tego nie usłuchał, lecz i mnieby samej nie oszczędził i zemstę swoję na mnie matce, jakby nad każdym innym z naszej bandy wywarł. Musiałam więc milczeć na to wszystko co się u nas działo i rozmyślałam zawczasu, jakby się wyzwolić z pod władzy takiego tyrana jakim był mój własny syn.

Najpierwszą myślą moją było, zgromadzić powoli jaki zapas dla siebie, z którego żyćbym mogła wtedy, gdyby mi się udało usunąć z pośród cyganów. Dlatego nie oddawałam do jego

skarbony wszystkiego, com zarobiła, a do czego każdy z bandy jest obowiązany; i po niewielkiej cząstce zarobku odkładałam i chowałam tak ostrożnie, by ani on, ani nikt z naszych tego dostrzedz nie mógł. Tym sposobem postępując, uzbierałam sobie trochę grosza, za który kupiłam tę chatkę z kawałkiem gruntu, którym po mojej śmierci rozporządzisz, jak swoją własnością. Przed ośmiu blisko laty zostawałam jeszcze w cygańskiej bandzie, włócząc się z nią tu i ówdzie z miejsca na miejsce, po całym prawie świecie. Już mi ta włóczęga bardzo ciężyła. Pieniędzy uzbierałam sobie już dosyć i kryłam się z tym skarbem moim by go nikt nie dostrzegł u mnie.

Jednego wieczora syn mój, jako dowódzca bandy, dał rozkaz zwinąć namioty i w tej chwili z miejsca wyruszyć. Stało się to natychmiast. On sam na czele naszego wędrującego taboru, prowadził go nocami przez lasy i góry. W dzień zaś w cieniu drzew spoczywaliśmy, a gdy noc nadchodziła, znowu spiesznie wędrowaliśmy dalej. Kilka dni trwała ta nasza wędrówka, na moje zaś zapytanie do czego to zmierza taki nasz spieszny pochód, syn mój cierpko odpo-

wiedział, że mu się tak podobało i abym się o to więcej nie troszczyła.

Zrozumiałam wtedy, że Bartłomiej coś niegodziwego knuje, że się z tem przedemną tai. Zaczęłam więc pilnie uważać, co się dalej dziać będzie. Kilka nocy oczekiwałam na to wyjaśnienie. Aż piątej nocy nareszcie od rozpoczęcia tego spiesznego pochodu zauważyłam, że kiedy wszyscy już spali, syn mój powstał ze swego legowiska i cicho wymknął się z pośród naszego taboru. Ja także w największej cichości wstałam z posłania i poszłam za nim. Wyszedłszy z lasu, syn mój podszedł prędko blisko wielkiego jakiegoś zamku, z którego okien biło jasne światło, i przystanął koło jednych wrot wielkich, zamkniętych we wchodowej stronie zamczyska. I ja także cicho zbliżyłam się w tęż samą stronę, stanęłam blisko niego, zakryta gęsto rosnącymi krzakami jałowcu, i pilnie uważałam co się dziać będzie. Nadeszła północ. Syn mój stał ciągle w tem samem miejscu. Tak przeszła niedługa chwila, usłyszałam skrzypnienie ostrożnie otwierającej się bramy. W tej chwili księżyc wychylił się z gęstych obłoków, które go zakrywały dotąd, i promień jego oświecił na wpół otwartą

bramę, z której wyszła jakaś kobieta niosąca na ręku jakiś biały zwitek, który oddała synowi memu. Masz to, powiedziała do niego z cicha, dość jednak wyraźnie, tak, że żadne słowo nie uszło słuchu mego. Lecz go nie zabijaj, broń Boże! tylko go skryj tak doskonale, aby nikt tego nie dośledził nigdy.

Nie bój się pani! odpowiedział syn mój. Kradłem już nieraz dzieci cudze, nikt ich pomiędzy nami nie poznał."

Wierzę ci, odpowiedziała kobieta i nie wątpię że dotrzymasz słowa. Przedewszystkiem, że gdybyś się kiedy odważył nie zachować tajemnicy, najsrożejbyś to odpokutować musiał. W poduszce dziecka znajdziesz osobną za to nagrodę. Bądź mi tylko wierny, i milcz jak grób! A teraz oddal się spiesznie! by mojej tak długiej nieobecności niedostrzeżono. Pamiętaj tylko! wieczna tajemnica!...

Wymówiwszy te ostatnie słowa kobieta zniknęła w tej samej bramie, z której wyszła, a Bartłomiej z zawiniątkiem w ręku, wrócił do lasu. I ja także zawróciłam i szłam z daleka za nim, aż do naszego taboru. Zaledwie zbliżył się do niego syn mój, mocnym swym głosem zbu-

dził spiących i jak najspieszniejszy dalszy pochód nakazał. Natychmiast wszystko co żyło musiało w drogę wyruszyć. Tak szliśmy aż do białego dnia, i po krótkim wypoczynku, wędrowaliśmy dalej znowu. Szliśmy przez pięć dni i nocy nieznajomemi drogami i w tak krytym kierunku, że zapamiętać nawet nie było podobna tej drogi, by trafić kiedy można do tego miejsca, z któregośmy wyruszyli, i skąd synowi mojemu oddane było dziecko.

Dzieckiem tym, ty jesteś! Tajemne przeczucie mówiło mi, i tej myśli pozbyć się nie mogłam, że syn mój, coś złego z tobą uczynić zamyśla. Litość mię brała, słysząc łkanie biednego niemowlęcia, miałam więc je pilnie na oku jak i syna mego. Moje przeczucie nie omyliło mnie. Gdyśmy już o czterdzieści lub pięćdziesiąt mil uszli od miejsca, w którym tę zbrodnię popełniono, stało się to, co mnie tak długo tajemnie trapiło. Syn mój dotrzymał słowa. Nie zabił on dziecka, lecz wziąwszy go znowu na ręce, wymknął się nocą i dążył z pospiechem w najdzikszą stronę lasu, gdzie noga ludzka nigdy może nie postała, i tam znalazłszy głębokie wydrążenie w skale, położył w nim kwilące dzie-

cię. Krzycz już sobie póki się nie wykrzyczysz zupełnie, mówił do siebie syn mój niegodziwy. Jak się ona o tem dowie, będzie mi również wdzięczną, jak gdybym cię u siebie był zatrzymał.

Wymówiwszy te słowa, zwrócił się, aby odejść, dziecko zapłakało znowu, lecz głos jego nie poruszył i tą razą, zatwardziałego serca mego syna, który spiesznie z tamtąd się oddalił.

Jak dotąd nie opuszczałam nigdy naszej bandy choć zwierzchność syna mego i mnie samej nieraz już bardzo dokuczyła, tak teraz rozeszły się drogi nasze. Nie mogłam bowiem tego przenieść na sobie, aby ciebie biedne, opuszczone, wydziedziczone dziecko, wystawić na los tak okropny, bo nic innego czekać cię nie mogło, jak tylko pożarcie od dzikiego zwierza, lub śmierć głodowa. Od dawna do ucieczki z bandy cygańskiej przygotowana, podjęłam cię po oddaleniu mego syna, owinęłam w moje odzienie i spieszyłam przez las w przeciwną stronę rozłożonego taboru. Bóg się opiekował nami widocznie, bo zaślepił oczy naszych prześladowców, którzy mnie ścigali, a syn mój najzawzięciej chciał mnie w swoje dostać ręce.

W dzień ukrywałam się po najgęstszych zaroślach lasu. Nieraz nawet o kilkanaście zaledwie kroków odemnie, widziałam syna mego poszukującego mnie usilnie. Gdy noc nadeszła uchodziłam dalej, nie znając nawet miejsca gdzie się znajdowałam. Okolica zupełnie mi nieznajomą była. W końcu po kilkanocnej wędrówce, zdawało mi się, że potrafię odszukać miejsce, z którego wziął ciebie mój syn, co głównym było mym celem. Długi czas straciłam na tych poszukiwaniach, które mi bezskutecznemi się okazały, i przekonawszy się w końcu, że nie znajdę już miejsca twego urodzenia, poleciłam Bogu przyszłość twoją, a znalazłszy ten kątek, tutaj osiadłam na resztę dni mego żywota.

Cały ten czas, co tu przeżyłam, nieustannie błagam w moich modlitwach Najwyższego, aby mi dopomógł odkryć tę tajemnicę, nie dla własnego zaspokojenia, lecz twej matki i dla twego dobra. Fredzio zakrył twarz rękoma i płakał. O Boże! jakżeż czuję się teraz nieszczęśliwym poznawszy, że nie jesteś moją babunią. Daleko lepiej byłabyś zrobiła, nie mówiąc mi tego.

Jesteś dzieckiem i mówisz od rzeczy, powiedziała Małgorzata. Gdy wyrośniesz, a będziesz

dojrzalszy rozumem, przyznasz sam i dziękować mi będziesz, żem tej tajemnicy nie zabrała ze sobą do grobu. Może Najwyższy ulituje się kiedyś nad tobą i dozwoli ci twych rodziców odszukać, a wtedy będziesz mógł sam sobie wyjaśnić i innym o twem pochodzeniu.

Po czemże ja poznam moich rodziców, lub w jaki sposób oni mnie poznają? zapytał chłopczyna.

Pozostaw to w ręku Tego, który stworzył niebo i ziemię odpowiedziała staruszka ze czcią podnosząc oczy ku górze. Gdy nadejdzie chwila, tajemnica się wyświeci, staraj się tylko każdego czasu być na nią przygotowany. Bądź zawsze dobrym i uczciwym i nie zapominaj nigdy, że radość twych rodziców, w razie odnalezienia ciebie, tem większą będzie, gdy cię bogobojniejszym i cnotliwszym znajdą. Słuchaj mnie dziecię! Przez całe życie twoje miej Boga w sercu i przed obliczem Jego strzeż się grzechu, a nie czyń nic przeciw przykazaniom. Pamiętaj Fredziu naukę, którą ci daję. Jest to mądra i cnotliwa nauka, będzie to prawdziwą podporą w każdej dobie twego życia, a gdy cię pokusa nagabywać będzie, wspomnij sobie na ostatnią go-

dzinę twej babci, która cię serdecznie kocha. Wspomnij na Boga i na swych rodziców i nie zapominaj o nauce, którą pobożny Tobiasz swemu synowi dał na drogę. Całe życie miej Boga przed obliczem i w sercu, a strzeż się grzechu, i nie czyń nic przeciw przykazaniom Boskim. Czy nie zapomnisz o tej nauce mój Fredziu?

Nigdy, płacząc odrzekł chłopczyna. Nie mów nic o śmierci babuniu! Ty jeszcze nie umrzesz! Litościwy Bóg nie zrobi mi takiej krzywdy.

Co Bóg uczyni, stanie się z Jego świętą wolą odrzekła staruszka. Uspokój się teraz dziecię i idź do szafki. W ścianie w kąciku na lewo znajdziesz zawiniątko, przynieś mi je.

Chłopczyna usłuchał. Staruszka rozwinęła zawiniątko; była w nim tylko pielucha i koszulka z haftowaną literą i koroną hrabiowską.

Jest to wszystko co przy tobie znalazłam, rzekła staruszka, ta koszulka może ci kiedyś posłużyć do odkrycia miejsca twego urodzenia. Patrz na tę literę i koronę. One wskazują, że pochodzisz ze znakomitej rodziny, chociaż zupełnie tego nie pojmuję, jak mogli tak bogaci rodzice, dziecko bez dozoru zostawić. Jakim spo-

sobem się to stało trudno odgadnąć, chowaj więc tę koszulkę i nie rozłączaj się nigdy z nią. Strzeż jej jak źrenicy w oku. To jest wszystko, co miałam ci powiedzieć — jestem zmęczoną i spiącą.

Staruszka kazała się zaprowadzić do izdebki a położywszy się na posłaniu strudzona, zamknęła powieki i usnęła. Fredzio czując się także znękany, położył swoją główkę obok babuni na poduszce. Tak spał do białego dnia, aż słoneczko swemi złotemi promyczkami, ciekawie do izdeki zaglądnęło. W tem obudziło go głośne i gwałtowne stukanie do drzwi.

Kto tam? zawołał chłopiec.

Drzwi rozwarły się z łoskotem, a w nich ukazał się barczysty człowiek z opaloną twarzą i bujną brodą a potem wpadł do cichej małej izdebki:

Tak jest w istocie! rzekł szorstkim grubym głosem. Przecie znalazłem ciebie tu chłopcze. Czy ty się nazywasz Fredzio?

Tak jest tak mnie nazywają. Lecz co sobie życzycie? moja chora babka spi, proszę nie tak głośno, bo ją zbudzicie.

Twoją babkę, starą Małgorzatę? właśnie

szukam jej, śmiejąc się rzekł człowiek. Rzeczywiście mój znajomy wskazał mi dobrze drogę.

Kto to jest ten wasz znajomy? ja go nieznam, powiedział chłopczyna.

Pewnie że nie znasz, odrzekł człowiek. Lecz on zna ciebie i starą Małgorzatę, i widział was tu zeszłego lata, a jako dobry znajomy, uwiadomił mię o tem. A zatem jestem tu i chciałbym ze starą parę słów pomówić. Obudź ją chłopcze!

Nie obudzę jej, odpowiedział chłopczyna z gniewem. Babunia jest chorą i potrzebuje wypoczynku. A właściwie powiedzcie mi, kto jesteście że tak zuchwale nasz dom nachodzicie?

Poznasz mnie wkrótce chłopcze, i to nawet natychmiast, gdyż zabiorę ciebie ze sobą, odpowiedział przybyły. A zresztą jestem synem starej Małgorzaty. Wiesz już teraz o wszystkiem. Raźno więc, obudź starą.

Fredzio przestraszony, zbladł i trząsł się ze strachu. Byłby to ów Bartłomiej syn Małgorzaty, ten okrutny syn, który mnie zostawił na pastwę zwierząt i śmierci głodowej. Pomimo woli zwrócił się plecami do przybyłego i uciekł do babuni szukając u niej opieki.

Lecz zaledwie na nią popatrzył, wydał przeraźliwy jęk boleści, przypadł do niej zanosząc się od płaczu.

Co ci się stało chłopcze? rzekł Bartłomiej zdziwiony, przystępując bliżej do łóżka chorej. Ach! widzę powiedział odmiennym głosem, — umarła. Stara Małgorzata nie żyje. Stało się to nadspodziewanie.

Jakkolwiek przybyły był szorstki i dzikiego spojrzenia, nie mógł się oprzeć wzruszeniu, które go opanowało, gdy popatrzył na spokojną i bladą twarz matki. Przecież ona była jego matką!

Lecz rozczulenie to trwało tylko chwilę, bo zastarzała i głęboko zakorzeniona gburowatość jego umysłu, uwydatniła się na nowo.

No i cóż? powiedział przybyły, wszyscy musimy umierać, a stara umarła w najpożądańszej chwili. Nie płacz chłopcze! krzyknął Bartłomiej na Fredzia, który się zanosił od płaczu. Na każdy sposób musiałbyś się był z babunią rozłączyć, gdyż po to tu właśnie przyszedłem. Dla tego bądź spokojny, a rozłączenie będzie dla ciebie tem lżejsze, gdy stara będzie w ziemi. Biegnij zaraz do wójta wsi, abyśmy mogli wszyst-

ko uporządkować a nie becz! Bo twojem łkaniem i jękiem nie wskrzesisz starej.

Boleść biednego dziecka tak była wielką, że o niczem więcej nie myślał, a Bartłomiej nie zadawał sobie wiele trudu, aby go uspokoić. Pochwycił chłopczynę za kołnierz i wyrzucił za drzwi.

Do wójta, wrzasnął do niego. Niech w tej chwili przychodzi! Rozumiesz? Spiesz się, albo cię zgniotę na miazgę! Ruszaj!

Chłopczyna wybiegł. Gburowata postać Bartłomieja wstrzęsła biednym dzieckiem do głębi, on zaś starał się wyszukać wójta natychmiast, lecz nie po to, aby go do Bartłomieja zaprowadzić, lecz aby go o opiekę przeciw gwałtowności jego błagać, bo Bartłomiej mu groził, że go ze sobą zabierze, a los podobny, równał się śmierci.

Prawie bez tchu wpadł do domu wójta.

Kochane dziecię, mój Boże, co ci się stało? Jak ty wyglądasz? zawołał wójt.

Chłopczyna pochwycił rękę jego i całując ją błagał z płaczem o opiekę i pomoc przed tym okrutnym najezdnikiem, który dom jego dobrej i kochanej babuni napadł. Z początku, nie zro-

zumiał wójt prośby biednego dziecka, które przelęknione, wszystko tak nie zrozumiale wypowiedziało, że istotnie nie można było wiedzieć co ono chce. Nakoniec zrozumiał o tyle, że babunia nie żyje, a jakiś obcy, ich dom najechał i jak swoją własnością rozporządza.

Bądź spokojny, poczciwe dziecię, rzekł wójt, gdy wszystko wyrozumiał o co chodzi, i pochwycił za kapelusz. Chętnie ci będę towarzyszył i rozmówię się z przybyłym. Mamy w kraju sądy i sprawiedliwość, a jeżeli ten najezdnik bezprawnie dom napadł, potrafimy go wnet ztąd wydalić. Uspokój się zatem mój Fredziu, tobie z pewnością nic złego się nie stanie.

Wójt wziąwszy zapłakanego chłopczynę za rękę, udał się z nim do chatki starej Małgorzaty, i zastał nieznajomego mu Bartłomieja, który go oczekiwał. Zmierzył go badawczym wzrokiem, i nieustraszony był w obec wójta nader uprzejmym i przemówił do niego: Bardzo dobrze żeś pan tu łaskawie przybył. Przybyłem właśnie w najstosowniejszej porze, bym mógł pozostałość nieboszczki uporządkować.

Któż pan jesteś? zapytał wójt. Nim pan majątkiem tym rozporządzać będziesz, musisz

się wykazać upoważnieniem do tego. A zatem proszę mi powiedzić kto pan jesteś?

A ten mały głupiec nic panu nie mówił? Bartłomiej me imię, a nieboszczka moją była matką. Czy teraz pan zrozumiał?

Możesz pan to udowodnić? zapytał wójt.

Naturalnie że mogę, odrzekł nieznajomy i wyciągnął z kieszeni stary skórzany pugilares Tu są wszelkie dowody, których pan żądasz.

Podał wójtowi pakiet papierów, przypatrując się z wyrazem tryumfu, jak ten je przeglądał z największą dokładnością.

Wszystko znalazłem w porządku, rzekł wójt nakoniec. Biedne dziecię, nie będzie po twojej woli, bo Bartłomiej zabiera wszystek spadek po twojej babce, a my nie możemy mu przeszkodzić.

Proszę się o to nie troszczyć panie wójcie, dodał Bartłomiej. Ja się zajmę małym, a spodziewam się, że u mnie nie będzie mu gorzej, jak u nieboszczki. Przecież i ten mały jest niejako częścią spadku, azatem i jego mam tak samo prawo zabrać, jak i wszystko inne zabieram.

Nie, nie panie wójcie, z płaczem zawołał

młody chłopczyna. On mnie zabije, ja wiem, że on mnie zabije! Nie, ja z nim nie pójdę! Ulituj się nademną panie wójcie! Chroń mnie przed tym okrutnym człowiekiem.

Uspokój się kochane dziecię przemówił wójt dobrotliwie. Ciesz się raczej, żeś na miejsce twej zmarłej babuni znalazł tak poczciwego przyjaciela, który się tobą chce zająć.

Niech pan uporządkuje swoje sprawy, rzekł wójt do Bartomieja. Ja widzę, żeś pan do tego zupełnie uprawniony, a z mej strony nie natrafisz na żadne przeszkody. O małym pomówimy jeszcze ze sobą. Jednakowoż nie ścierpię tego pod żadnym warunkiem, byś się pan miał pastwić nad małym sierotą, ponieważ on jest bardzo dobre i poczciwe dziecię i ze wszech stron zasługuje na miłość i pobłażanie. A ty chłopczyno bądź wyrozumiały! Wszystko to się jakoś ułoży a ja spodziewam się, że nie zadługo poprzyjaźnicie się ze sobą.

Wymówiwszy te słowa, wyszedł, nie zważając dalej na płacz, biednego opuszczonego dziecka.

Bartłomiej przeszedłszy kilka razy po izbie

zwrócił się do płaczącego chłopczyny z uprzejmą twarzą i podając mu rękę:

Kochany Fredziu, rzecze łagodnym głosem dobry chłopczyno, popatrz na mnie.

Sierota podniósł zapłakane oczy, i ujrzał twarz Bartłomieja pełną wyrazu dobroci, pomimo jego przestrachu.

Powiedzże dziecię, czy w istocie wyglądam tak strasznie? zapytał Bartłomiej. Nie obawiaj się mnie, gdyż chcę się tobą jak najszczerzej zająć, a gdy będziesz posłusznym, to dobrze mówił pan wójt, że wnet się poprzyjaźnimy. Jestem nieprzebłagany i okrutny, gdy natrafię na opór i nieposłuszeństwo, zresztą, będziesz moim synem a ja dla ciebie ojcem.

Ale ty panie nie jesteś moim ojcem! Wiem o wszystkiem od babuni, która mi przed śmiercią opowiadała.

Co ci babunia opowiadała, dziecię? zapytał przybyły. Starzy ludzie lubią różne baśnie opowiadać, a takowym nie trzeba zawsze wierzyć. Co ci ona opowiadała chłopcze? Czy mówiła ci co o mnie?

Że nie jestem jej wnukiem, żeś mnie wykradł z pięknego pałacu, potem zostawiłeś mnie

w lesie, bym z głodu umarł, to mi babunia opowiadała, a ja jej wierzę, gdyż ona wiedziała dobrze co mówi, i nigdy w swem życiu nie splamiła swych ust kłamstwem.

To wszystko prawda, rzekł nieznajomy. A więcej nic ci nie mówiła, nawet nazwiska pałacu nie wymieniła? O niczem więcej? Nie taj nic przedemną, proszę cię o to bardzo.

Nic więcej nie mówiła, bo babunia sama o niczem więcej nie wiedziała. Tylko mówiła, żeś ją tak manowcami do tej okolicy prowadził, że nie mogła jej napowrót odszukać.

Z największą uwagą śledził Bartłomiej cały tok rozmowy dziecka, a gdy się przekonał, że w istocie o niczem więcej nie wie, odetchnął spokojniej, a promyk radości i zadowolenia przebiegł po twarzy jego.

Dobrze, dobrze, rzekł po krótkiem namyśle. Bardzo dobrze, kochane dziecko! Wkrótce sam uznasz, jak to dobrze, żem cię odszukał. Widzisz, ja wiem, w której okolicy znajduje się ten zamek, znam twoich rodziców, wiem o wszystkiem co się ciebie tyczy, a gdy mi przyrzekniesz być posłusznym, ja ci przyrzekam znowu, że cię zaprowadzę za kilka tygodni do twych rodziców.

Nikt, prócz mnie, tegoby nie dokonał tylko ja, jedynie, lecz za to żądam od ciebie, abyś był dobrym i posłusznym chłopcem jak dotąd byłeś dla babuni.

Biedny sierota przestał płakać, a twarz się wypogodziła. Czy to prawda panie co ty obiecujesz? zapytał. Czy mnie zaprowadzisz do mych rodziców?

Najniezawodniej że odzyskasz rodzinę i ojcowiznę, odrzekł Bartłomiej, a chłopczyna uwierzył mu. Niewinny umysł sierotki zaufał chytrym przyrzeczeniom Bartłomieja i nowa nadzieja ukołysała go do spokoju. Nawet przybyły starał się to zaufanie podtrzymywać, przez łagodne obchodzenie się z biednym Fredziem. Ciągle był uprzejmym i łagodnym dla niego a przy tem pozałatwiał niektóre sprawy, które po śmierci matki zrobić potrzeba było. Na drugi dzień odbył się pogrzeb, biedne dziecko gorzkie a szczere łzy nad grobem babuni roniło.

W krótce Bartłomiej sprzedał chatkę, łąkę i inne ruchomości po Małgorzacie, a że wiosna nadeszła, począł się wybierać w daleką swą wędrówkę.

Chłopczyna cieszył się niewymownie, że już ta szczęśliwa godzina nadeszła, spodziewając się na pewne, że w krótkim czasie Bartłomiej zaprowadzi go do jego własnych rodziców i do własnego domu. Fredzio wyprosił sobie jeszcze tyle czasu, by się z panem wójtem, księdzem i swemi towarzyszami szkolnemi pożegnać, wybiegł jeszcze za wioskę na cmentarz, by się na grobie dobrej babuni szczerze pomodlić i popłakać a potem wrócić do Bartłomieja. Jeszcze tego samego dnia wyruszyli w drogę. Ku wieczorowi znikła im z oczu mała wioska i luba chatka, w której biedna dziecina w pierwszych latach się wychowywała. Nic nie zabrał ze sobą z cichej i spokojnej wioski, prócz wspomnienia o poczciwej babuni, maleńkiej koszulki z haftem i małej książeczki z pięknemi powiastkami, które on niegdyś babuni czytywał. To były wszystkie jego skarby. Prócz Boga, którego miał zawsze w sercu, ufając w litościwe jego staranie, jako ojca wszystkich żyjących, nikogo już nie stało, ktoby się nim opiekował!

II.

Życie cyganów.

Kilka dni szło biedne dziecię bez skarg i wytchnienia, wiele nocy sypiało pod gołem niebem lub w chacie leśnego, lub pod stertą siana, nim Bartłomiej z sierotką cel podróży osiągnęli. Podczas tej podróży, nie zważało wiele biedne dziecię na dolegliwości, bo powietrze było ciepłe, niebo pogodne a nieznajomy obchodził się z nim w pierwszych dniach łagodnie, aż dokąd nie odeszli od wsi tak daleko, aby Fredziowi, który nie wiedział ani drogi ani ścieżki, powrót do wioski uniemożliwić. Teraz Bartłomiej obrał inny sposób postępowania, a chłopczyna nie mało się zadziwił, gdy pewnego poranku ujrzał, że uśmiech z twarzy towarzysza zniknął, a natomiast spostrzegł groźną postawę, ponury surowy wzrok i pomarszczone czoło.

Chłopcze, rzekł Bartłomiej, właśnie czas, byśmy się porozumieli, i abyś zapamiętał, czego się masz w przyszłości odemnie spodziewać. Gdyś sądził, że ja ciebie zaprowadzę do twoich rodziców toś się oszukał. Ponieważ twoi rodzice wcale nie żyją, dawno pomarli i w ziemi

spoczywają, a gdyby nawet żyli, to wiąże mnie straszna przysięga i troska o własne me życie aby ciebie nigdy rodzicom nie zwrócić. A zatem nadzieję w którąś uwierzył tak rychło, porzuć raz na zawsze!

Ach! panie! odezwało się dziecię przelęknione, tyś mi przyrzekł...

Tak jest, przyrzekłem ci, aby cię spokojnie ze wsi wywabić i zupełnie w moc swoją dostać, przerwał nieznajomy przestraszonemu chłopcu. Teraz masz najczyściejszą, nagą prawdę. Słuchaj jeszcze dalej co ci powiem: gdybyś się ważył kiedy ztąd umknąć, chociaż ci się to nie uda, jak się później przekonasz, w takim razie, gdy cię napowrót pochwycę, — niechybnie cię zabiję jak psa. Ażebyś wiedział i przekonał się, że to nie jest czcza pogróżka, lecz stanowcze postanowienie z mej strony, powiem ci przyczynę, dla czego cię zabiję, gdy moim rozkazom sprzeciwiać się będziesz. Przyczyna jest pojedyncza, powieszono by mnie, lub ścięto, a może i poćwiartowano, gdyby pewna osoba, która jeszcze żyje i mnie śledzi, przekonała się że żyjesz, a przez odkrycie tajemnicy, która nigdy wyjowioną być nie może, sprowadziłbyś najwię-

ksze złe następstwa. Gdyby ta osoba miała najmniejsze podejrzenie o twym tu pobyciu, byłbym zgubiony, ale — dodał ze złowrogiem spojrzeniem — przysięgam na Boga, że wpierw nim bym zginął, wprzód zamordowałbym cię bez litości. Odpowiadaj teraz chłopcze: czy zrozumiałeś dokładnie, co ci mówiłem?

Tak jest panie! rzekło przestraszone dziecię trzęsąc się całe, tak jest, zrozumiałem, i będę się strzegł twojego gniewu wzniecać.

Przyrzekasz mi, że nigdy słówka nie powiesz o tych urojonych baśniach, które moja nieboszczka matka tobie opowiadała.

Przyrzekam po sto razy, przyrzekam tobie panie, tylko nie zabijaj mnie, bo śmierć jest tak straszna!

O! tak jest, śmierć twoja byłaby straszną chłopcze, rzekł Bartłomiej z groźbą. Lecz dalej czy przyrzekasz mi po wszystkie czasy i przy każdej sposobności udawać cygana tak prawdziwego, rodowitego cygana, jak ja nim jestem?

Nigdy nie powiem, że nie jestem cygankiem rzekł chłopczyna. A nawet chłopcy ze wsi mojej nazywali mnie cyganem. To trudno

nie przyjdzie, jeżeli pewnym będę że mi nic złego nie zrobisz.

Przynajmniej cię nie zabiję, odpowiedział tyran. Jak się moi ludzie z tobą będą obchodzili, to będzie od ciebie zależeć. Jeżeli będziesz uważny, pojętny i roztropny, to nie będzie ci tak źle; jeżeli przeciwnie będziesz leniwy, krnąbrny i niedołęga, lub okażesz w jakikolwiek sposób złą wolę, to zobaczysz, że położenie psa, którego batem i obróżą do polowania układają, niezawodnie godniejsze będzie pozazdroszczenia jak twoje. Teraz znasz swój wyrok — bądź roztropny i stosuj się do okoliczności.

I cóż ja mam czynić, by srogiego losu uniknąć? zapytało dziecię ze strachem.

Być posłusznym! zawsze słuchać i nie powodować się własną wolą, odrzekł cygan krótko i hardzo. A zresztą zobaczysz! A teraz naprzód! Już czas abym po tak długiej niebytności znowu do swoich się dostał.

Fredzio tłumił łzy gwałtem cisnące się do oczu, pochylił głowę w której kłębem krążyło to wszystko, co mu mówił cygan, a czemu ani się sprzeciwić, ani żadnym sposobem zaradzić nie mógł.

Bartłomiej szedł tak spiesznie, że chłopiec za jego krokami zdążyć już nie mógł, znużony taką kilkudniową wędrówką. Tchu mu już nieraz brakowało, ani śmiał nawet się odezwać, by nie wywołać gniewu srogiego przewodnika swego. Aż dopiero, gdy siły jego się wyczerpały, gdy mu się od znużenia kolana uginać zaczęły, tak, że nie mógł dalej postąpić kroku, odważył się odezwać z pokorą, prosząc o chwilkę odpoczynku, lecz na te jego słowa cygan nie zwracał prawie uwagi ale rzekł ostro! Nuże! dalej! dalej! czas twego próżniactwa już minął! musisz zacząć się przyzwyczajać do spiesznego pochodu. Prawdziwy cygan nie powinien nawet wiedzieć co to jest trud.

Pełną piersią wciągnął powietrze w siebie biedny sierota i powlókł się dalej. Wkrótce jednak siły go zupełnie opuściły. Łzy go oblały, i upadł na ziemię, zalewie zdołając wymówić te słowa: Ani kroku już dalej postąpić nie mogę!

A! no! kiedy tak, to musimy spróbować jakiem na znużenie lekarstwem jest batóg! odpowiedział cygan. Właśnie to dobrze, że tu swoję pierwszą zaczniesz lekcję. Skutek będzie niezawodny.

I bez litości okładać zaczął razami biednego chłopca, który pomimo wyczerpanych już sił swoich, raźnie podniósł się z ziemi i na kolanach o miłosierdzie prosił.

Możesz teraz iść dalej? spytał go cygan.

Mogę a przynajmniej starać się o to będę. Odpowiedział płacząc chłopiec.

Pamiętajże sobie! mówił cygan. Kilka bizunów jest jakby czarodzieiską rószczką! Naprzód więc! a gdy cię znowu znużenie opanowywać zacznie, tylko piśnij słówko, a znowu spróbujemy tych samych czarów!

I nie rozczulając się wcale nad szlochaniem biednego, postępował spiesznie dalej; lecz tą razą kazał już chłopcu iść na przodzie, aby go ściągnąć batogiem za każdą razą, jak go widział zwalniającego kroku. Gdy pod wieczór cygan zawołał stój! sierota na pół omdlały padał na ziemię, na co cygan z krwią zimną i ponurym wzrokiem zawsze spoglądał.

Byłoby jednak daleko lepiej tak dla ciebie jak i dla mnie, mruknął sobie cygan, a nawet najlepiej ze wszystkiego... aby cię zabić?... Nie, dusza moja wzdryga się na to aby módz z zimną krwią zamordować ciebie... Nie! ja tego

nie uczynię! A po cóż!... on tak jeszcze młody to zapomni co mu stara nabajała. A gdyby nawet niezapomniał, to nigdy nie natrafi do miejsca gdzie się urodził... zresztą ja sam tego nie zrobię, aby go kiedykolwiek prowadzić blisko tego miejsca. Będę go więc zawsze miał na oku; a nadto moja początkowa nauka, jak to już widzę, tak poskutkowała, że nie sądzę, aby mu przyszła ochota mając łańcuch na szyi próbować się go pozbyć. A gdyby nawet mu to przyjść mogło do głowy, spróbować się odemnie wyzwolić, to zawsze będzie czas, ubić go w tejże samej chwili. Niech więc sobie żyje jak długo wytrzymać zdoła — ale w wiecznej niewiadomości wszystkiego, co jego dotyczyć może!

Domawiając tych słów cygan, rzucił się na ziemię obok chłopca i wyjąwszy z swej torby jadło zaczął chciwie spożywać, niezwracając nawet uwagi na sierotę. Napił się potem z swej flaszki podróżnej na pokrzepienie, co ją zawsze z sobą nosił i rozciągnąwszy się na ziemi, zasnął najspokojniej, jakby nie miał najmniejszego na sumieniu ciężaru. Gdy się obudził rano, chłopiec w snie głębokim jeszcze zasypiał. Ściągnął go więc znowu batogiem i takie to było

przebudzenie sieroty, który wczorajszych razów dolegliwości czuł jeszcze, i bez litości popędził go znowu przed sobą, rzuciwszy mu kawał suchego chleba, który zgłodniały chłopiec chciwie gryźć zaczął. Każde choćby najmniejsze jego zwolnienie kroku równie jak wczoraj, srogiem uderzeniem batoga karał. Szczęściem dla chłopca, tego dnia podróż nie była długą. Po południu już było, kiedy ujrzał chłopiec niewielką łączkę pośród gęstego lasu, całą ocienioną gałęziami ogromnego dębu, który stał na jej brzegu; pod nim przystanął cygan i dobywszy z zanadrza świstałki, przyłożył ją do ust, a głos jej przeraźliwy rozlegał się daleko w lesie, każdy krzak prawie poruszać się począł, a z nich wyłazili mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy czarni z przeraźliwemi błyszczącemi oczyma, odziani w szczątki rozmaitego odzienia, po największej części jakiemiś tylko płachtami brudnemi i poszarpanemi na wpół zaledwie okryci, i natychmiast otoczyli swego dowódzcę, który ich łaskawie powitał. Kilkoro dzieci również czarnych a jeszcze obrzydliwiej brudych i zasmarowanych otoczyło Fredzia i z ciekawością mu się przypatrywać zaczęło. Biedny sie-

rota z zapłakaną twarzą, prześlicznemi blond włosami i całą swoją miłą postacią widoczny, pomiędzy nimi wyjątek stanowił.

Pierwszych dni parę nic się złego nie działo biednemu chłopcu, chociaż na niego wszyscy z całego tego cygańskiego taboru z niedowierzaniem poglądali. Nikt się o niego nie troszczył, pokazano mu tylko kątek w niedalekiej jaskini, w którym noc miał przepędzać, w dzień zaś siadywał na kamieniu przy wejściu tejże i przypatrywał się z ciekawością rozmaitym zabawom i igraszkom cygańskich dzieci, nie należąc wcale do nich. Bo gdy próbował przybliżyć się, aby z niemi zawiązać znajomość, lub się odezwał, wszystkie uciekały natychmiast i rozpierzchały się w różne strony, nie dając mu żadnej, na jego zapytanie odpowiedzi. Był więc opuszczony i osamotniony zupełnie. Przypomniał sobie książeczkę, z której swej babce niegdyś różne czytywał powiastki, a którą miał z sobą. Wyjął ją z kieszeni i zaczął odczytywać, nie starając się już więcej zbliżać do dzieci, które go tak unikały.

Parę cygańskich dzieci, widząc, że i on na nich nie zważa, same zbliżyły się do niego i zapytały go, co trzyma w ręku? Sierota pokazał

im książeczkę i mówił, że w niej znajdują się rozmaite ładnę opowiadania, które jeżeli zechcą, on im czytać będzie. I zaczął powoli czytać ciekawie. Dzieci z początku przysłuchiwać się zaczęły, później, widać im się to nie bardzo podobało i odeszły bawić się po swojemu. Jeden tylko z nich chłopczyk, równy prawie wiekiem z sierotą, pozostał koło niego i prosił go, aby mu dalej czytał takie ładne rzeczy. Gdy się powiastka skończyła, nie odszedł od niego, zaczął z nim rozmawiać i prosił, aby mu jeszcze więcej powiastek takich przeczytał. Sierota czytał znowu. I nim wieczór nastąpił, obaj chłopcy zaprzyjaźnili się z sobą. Najlepiej wyszedł na tem Fredzio, nie był już bowiem tak osamotniony jak dotąd. Mała książeczka, którą przyniósł z sobą, zjednała jedno życzliwe serce sierocie, cieszył się on niem jakby skarbem najdroższym.

Pewnego poranku naczelnik bandy cygańskiej, z którą tu przyszedł, surowym głosem odezwał się do niego: No! już czas abyś się uczyć zaczął, abyś był sam pożyteczny i na chleb zarobił. My darmozjada nie ścierpiemy pomiędzy sobą. Precz więc z książkami i z tem

wszystkiem co kiedyś było. Zwołaj tu wszystkich Urielu! — powiedział to do chłopczyka, co się już był zaprzyjaźnił z sierotą. Będziemy tańczyć i rozmaite robić sztuki; a ty dobrze uważaj, powiedział do nowicjusza. Z patrzenia także czegoś nauczyć się można.

Uriel wnet sprowadził rozproszonych cyganów. Bartłomiej wyjął dudkę, na której zawsze różne wygrywał melodje. Młodzi tańcowali dziwnie przy tej muzyce, różne wyprawiali skoki, rękami i nogami lub na czworakach, wykręcali członki swe w rozmaity sposób, jakby żadnych kości w nich niebyło, twarze nawet tak rozmaicie i okropnie wykrzywiali, że Fredzio z największem zdumieniem temu się przypatrywał. Na tem się jednak nie skończyło. Bo gdy chłopcy już się utrudzili, sierota swą piewszą lekcją rozpocząć musiał. Bartłomiej zaczął na rozmaite sposoby giąć i wykręcać jego ręce i nogi, tak, że aż kości trzeszczały. A mimo bolu, jaki mu to sprawiało, obawiał się nawet jęknąć. Wzrokiem tylko wzywał litości i miłosierdzia! Lecz było to napróżno, dziki nauczyciel wtedy batóg mu tylko pokazał, a nieszczęśliwy sierota nosząc jeszcze nie zagojone na ciele razy, nie

rad był więcej spróbować go na sobie. Płakał więc tylko gorzko, poddając się mimowolnie okrucieństwu cygana. Wreszcie, bezsilnego już zupełnie, rzucił niemiłosiernie na ziemię i odszedł od niego.

Bądź spokojny! szepnął po chwili jakiś głos w ucho sieroty. I cóż chcesz? my wszyscy cyganie przechodziliśmy przez to wszystko! Lecz w istocie nie tyle byliśmy bici jak ty. Wprawdzie ty jesteś białe dziecko i nie tak zręczne i pojętne. Bądź tylko cierpliwy! To tylko z początku tak jest dolegliwe. Gdy się członki do tego przyzwyczają, to potem łatwiej ci to pójdzie.

Był to Uriel, który serdecznie obejmując sierotę, takim sposobem pocieszać go się starał. Bądź spokojny! Od razów bolesnych ja cię chronić będę ile możności; a jak mi będziesz takie ładne rzeczy czytał jak dotąd, to ja cię za to uczyć będę wszystkich sztuk, tak, że będziesz zawsze wprzód umiał lekcye nim Bartłomiej cię do nauki zawoła.

Chciałżebyś to zrobić Urielu? Ach! jakże ty dobry jesteś i jak ci za to wdzięcznym będę! odpowiedział Fredzio, nim jeszcze zdołał otrzeć łzy swoje.

Zrobię to najchętniej! nie ma o tem co i mówić, odrzekł Uriel. Popołudniu, gdy Bartłomiej zwykle śpi, pójdziem sobie oba na polankę do lasu, gdzie nam nikt nie przeszkodzi i widzieć nas nie będzie. Tam obaj pracować będziemy. Nie mów jednak o tem nikomu z naszych, boby się z nas naśmiewali jeszcze i mogliby nam sprawę popsuć, oni cię nie lubią wszyscy. Cieszą się nawet z tego, gdy cię Bartłomiej bije i źle się z tobą obchodzi. Bądź więc ostrożny! a teraz poleż sobie, abyś odpoczął, nim się uczyć zaczniemy.

Po południu Uriel przyszedł i zabrał z sobą Fredzia, z którym poszedł do lasu, i w ustronnem miejscu uczyć go zaczął. I tu mu szło nie łatwo! Za pomocą jednak życzliwego i zręcznego nauczyciela dość dobrze wszystko się udawało. Gdy na drugi dzień Bartłomiej wziął chłopca do nauki, mniej już batoga używał, a sam i wszyscy cyganie dziwili się tej pojętności, z jaką tak prędko biały mógł pojmować cygańskie nauki. Podwójna ta nauka skutkowała dobrze, bo w niej członki jego nabierały mocy i gibkości, któreby w innych warunkach nie były się rozwinęły; a to była prawdziwa dla niego

korzyść, którą prędzej czy później miał koniecznie uzyskać.

Tymczasem przeszło lato i jesień już się miała ku końcowi. Drzewa pozbywały się liści, przymrozki nocne ukazywały się, zima spiesznym przybliżała się krokiem. Pobyt dalszy w lesie był niepodobnym, bo nawet w głębi jaskini zimowe burze dotkliwie czuć się dawały, a biedny Fredzio, który nie miał na sobie nic więcej oprócz letniego ubrania, które go od zimna uchronić nie mogło, rozmyślał nad tem, jak zdoła przepędzić zimę. Obawa ta próżną się okazała. Jednego poranku Bartłomiej zawołał całą bandę i do nich tak przemówił:

Nadszedł czas, gdzie ani las ani jaskinia nie mogą nam zapewnić poczas zimy przytułku. Musimy więc spróbować, jak za pomocą sztuk naszych, zdołamy przeżyć zimę. Musimy się więc rozdzielić na części, i tak rozprószyć po kraju. Ty Efraimie, udasz się w północnym kierunku, ty Jakóbie pójdziesz na południową stronę, ty Jefto na wschód, a ja na zachód się udam. Reszta podzieli się według upodobania. Uriel, wnuczek mojej matki, i jeszcze dwóch chłopców ze mną pójdą. Pracujcie jak możecie,

zbierajcie ile tylko zdołacie, a w maju roku przyszłego znowu zbierzem się tu wszyscy. Nie leńcie się tylko! Chłopskie zagrody, stodoły i obory są pełne. Ich skrzynie i spiżarnie także nie próżne. Głupi zawsze musi żywić rozumniejszych od siebie. Spieszcie się! Gdy słońce nad głowami waszemi zaświeci, musimy wszyscy stąd wyruszyć.

Z prawdziwą radością cyganie wysłuchali mowy swego naczelnika. Zaraz banda rozdzieliła się na cztery niewielkie części, powiązano w węzełki swoje rupiecie, które się z łatwością przenosić dały. Co zaś z sprzętów zabrać nie było można, to wszystko zakopano w głębi jaskini, i przywalono ogromnym kamieniem. Potem koło południa, posiliwszy się na drogę, rozeszli się w cztery przeciwne strony. Dotychczasowe ich letnie legowisko opróżniło się.

Bartłomiej szedł naprzód, chłopcy postępowali za nim, gdy ku wieczorowi w półmilowem zaledwie oddaleniu, w pośród mgły jesiennej, dostrzegli szczyty jakiegoś wiejskiego kościółka, wtedy dopiero poraz pierwszy otworzył Bartłomiej usta i przywołał sierotę.

Chłopcze! odezwał się swoim przeraźliwym

głosem, i spojrzał na niego surowym wzrokiem: Czy pamiętasz com ci mówił, gdym cię do naszego wprowadził obozu?

Chłopiec na ten głos podniesiony zadrżał cały. Tak, odpowiedział: pamiętam wszystko. I żadne słowo z ust mych nie wyjdzie, coby się panu podobać nie mogło.

Dobrze! a przez to, życie sobie zabezpieczysz, któreby, bez żadnego ratunku przepadło, gdybyś choć na chwilę zapomniał przyrzeczenia, rzekł Bartłomiej nieco łagodniej. Słońce tak lice twoje opaliło, że cię każdy za cygana uważać może. Strzeż się więc, abyś się sam nie zdradził! Bo gdybym tylko najmniejszą spostrzegł do tego przyczynę, to nie ujdziesz pomsty mojej.

Gdy się zbliżyli do wioski, cygan dobył piszczałki i zaczął na niej różne wesołe melodye wygrywać. Wszystkie okna domów i domków zapełniły się głowami ciekawych. Dzieci zaś powybiegały na podwórze przypatrując się ciekawie czarnym chłopakom biegnącym wśród wioski. Niektórzy nawet pobiegli śladem za nimi. Cygan ochoczo grał ciągle, aż przystanął przed jednym z domów, który do gospody był podo-

bny. Tu zagrał jeszcze skoczniej i skończywszy, obrócił się raptem, porwał sierotę za kołnierz, zaczął nim wywijać ponad głowami otaczających chłopców wiejskich, jak piórkiem.

Nieprawdaż malcy, że się wam to podobało, zawołał głośno. Biegnijcie więc do domu i powiedzcie wszystkim, że wielki czarodziej Bartłomiej Nikiforów z Egiptu aż z pod Piramid tu przyszedł, aby swoje zadziwiające i nigdzie niewidziane jeszcze sztuki tu pokazywać. Biegnijcie co prędzej, gdyż za pół godziny przedstawienie się zacznie, a gdy się spóźnicie, całe życie pożałujecie tego. A więc chyżo! radzę wam pospieszać. Wstęp tani — bo trzy tylko grosze od osób starszych, a grosz płacą malcy! spieszcie się więc, bo godzina przebiegnie prędko!

Po tych słowach cygan i trzej jego towarzysze weszli w drzwi gospody, a chłopcy rozbiegli się w różne strony: co widząc cygan przez okno, obrócił się do gospodarza, który gościom niebardzo był rad.

No, panie gospodarzu! odezwał się cygan, „wasza gospoda będzie dziś pełna jak nigdy! oczyść więc co prędzej wielką izbę, aby do tańców była gotową. Gdy wam dziś tak wiele spro-

wadzę gości, słusznem jest, abym za to, bezpłatną dostał u was kwaterę.

Bardzo dobrze, odpowiedział gospodarz. Gdy dobry targ mieć będę, słusznie abyście za siebie nic nie zapłacili. Sprawujcie się tylko dobrze, abym za was się niepowstydził.

Próżno się o to obawiać, odpowiedział cygan zadowolony. Niech tylko wasi wieśniacy ujrzą te cuda, dziwy, i usłyszą skrzypki'... Ale prędzej, bo goście zaraz zbierać sia zaczną.

Gospodarz, otyły mężczyzna, zdawał się sam być pewnym dobrego zarobku z tego przedstawienia. Pokazał cyganowi osobną izdebkę, w której się tenże natychmiast z chłopcami rozkwaterował a sam rozkazał izbę uprzątnąć. Ustawił butelki i kieliszki w należytem porządku; a tymczasem cygan rozpoczął przygotowywania do przedstawienia.

Prędko, chłopcy! zawołał cygan do swych malców, przewdziewajcie się jak do przedstawienia potrzeba, i uważajcie, aby żadnego głupstwa nie zrobić!

Aleśmy bardzo pomęczeni tak długą wędrówką! ośmielił się zauważyć Uriel.

Zmęczenie ja łatwo odpędzę, odpowiedział

cygan. Jak się w czem pomylicie, to was po skończonem przedstawieniu czekają porządne cięgi, i pójdziecie spać głodni, gdy zaś dobrze tańcować i skakać będziecie, tak jak należy, to was dobra nie minie wieczerza. Znacie mnie dobrze, nie potrzebuję więcej mówić.

Nie było co na to odpowiedzieć. Biedni znużeni i głodni chłopcy, musieli wdziewać swoje pstre odzienia, cygan wziął na siebie podobneż, i tak przygotowani poszli do wyprzątnionej izby, około której, przed zamkniętemi jeszcze drzwiami mnóstwo wieśniaków z żonami i dziećmi się już zebrało. Cygan przysunął do okna stół, a otworzywszy, zaczął odbierać od wieśniaków groszaki i chować do kieszeni. Gdy już zapłacili wszyscy, wtedy otworzył drzwi izby i do środka zebranych wpuścił poczem drzwi zamknął, aby nikt więcej nie wszedł. Nadeszła jednak jeszcze znaczna ilość wieśniaków, łakomy na grosz cygan znowu drzwi roztworzył, a odbierając pieniądze mimo wielkiej już ciżby, wszystkich do środka powpuszczał. To trwało blisko godzinę, izba napełniła się szczelnie ludźmi. Sam środek tylko, odznaczony naprędce założoną barjerą, był miejscem prze-

znaczonym do przedstawienia, w które weszli przywołani przez cygana przebrani już chłopcy i przedstawienie się rozpoczęło. Fredzio wraz z innymi musiał skakać, tańcować, wyłamywać się w rozmaity sposób, na rękach chodzić i na złamanie karku rozmaite wyprawiać sztuki, na które patrzącym, włosy prawie powstawały na głowach. Wszystko szło dobrze, małe omyłki, które cygan nie zostawiał bezkarnie, niebyły przez widzów dostrzeżone; w końcu, cygan wziął do ręki skrzypce i wygrywał niesłyszane tutaj wesołe lub smutne melodye, i tem zakończył przedstawienie. Widzowie zadowoleni jedni by się uraczyć z radości, zostali w gospodzie, inni nabrawszy z sobą piwa, w domu własnym się weselili. Cygan zaś z chłopcami udał się do swej izdebki.

Nie źle nam poszło, powiedział, należy wam się teraz wieczerza, a jak się najecie i napijecie to dam wam inną robotę. Wieczór do tego najstosowniejszy. Wieśniacy prawie wszyscy są w gospodzie i tam zostaną może do północy. Tego już ja sam dopilnuję. Ty Urielu z białym cyganem pójdziecie cicho do obór i stajen, dwaj drudzy poszukacie po karczmach i spiżarniach:

bierzcie co się zdarzy, i tylko to, co się łatwo da schować. Rozumiecie?... a tak to wszystko czyńcie, aby was niedostrzeżono i niepołapano, bo mi idzie o dobrą sławę, gdyż tu musimy parę dni zabawić! Jak ja ztąd wejdę do gospody, to wy najadłszy się, wysuniecie się jak najciszej z izdebki i drzwi za sobą przymknijcie dobrze, klucz schowajcie pod progiem wrót, w miejscu, które wam pokażę. Baczność i pilność! więcej wam nic mówić nie potrzebuję. A nie zróbcie jakiego głupstwa, bo wam głowy poukręcam. Teraz wychodzę do gospody a ty Urielu pójdź za mną, pokażę ci miejsce gdzie masz klucz schować.

Stary cygan wyszedł z Urielem, który jednak wnet powrócił. Fredzio blady i drżący do niego przyskoczył.

Na miłość Boga! powiedział do Uriela, co to wszystko znaczy?

Nic, teraz cicho bądź — ani słowa więcej! później się dowiesz szepnął cicho do niego Uriel. Niech ci dwaj odejdą! Zaraz służąca nam jeść przyniesie.

Umilkł biedny Fredzio i zasiadł razem do wieczerzy. A mimo że był głodny, nie mógł pra-

wie jeść, tak go to wszystko co miał robić, mimowoli przejmowało strachem. — Lecz z drugiej znów strony, przeważała trwoga i obawa srogości kary, jakaby go od nielitościwego czekała Bartłomieja. Uriel widząc jego pomieszenie, zachęcał go do jadła, aby się nie zdradził, w obecności drugich swych towarzyszy, którzy zawsze z niedowierzaniem spoglądali na biednego sierotę. Nakoniec spożyli wieczerzę wszyscy, gdy służąca już odeszła i sami chłopcy pozostali w izdebce, Uriel zawołał:

Idźcie już teraz gdzie wam kazano. Wy obaj wyłaźcie oknem i odejdźcie poza gospodę, ja z nim, pokazując na Fredzia, wysuniemy się cicho przez wrota i klucz schowamy.

Jak koty zeskoczyli dwaj chłopcy i przypadli do ziemi. Teraz, kiedy tamci odeszli i nam czas w drogę, rzekł Uriel do strwożonego przyjaciela, tylko się nie obawiaj niczego, nie ma w tem dla ciebie i dla mnie niebezpieczeństwa, tylko ruszaj śmiało ze mną.

Ależ gdzie mam iść? pytał go sierota zawsze z obawą i wstrętem od tego przedsięwzięcia, o którem, jakieby ono być miało, niewiedział. Pewnym bowiem był, że cygan nic im do-

brego nie nakazywał, boby nie potrzebował im ostrożności zalecać, ani ich wysyłać wśród nocy. Chyba kraść mieli? A on był uczciwy i niezapomniał słów umierającej babki, która mu zalecała, aby szanował przykazania Boże i starał się, nigdy przeciw nim niewykroczyć. Wolę cierpieć raczej niźli co złego zrobić! dodał po chwili.

Nie mów tego przyjacielu! odpowiedział Uriel. Jak tego nie będziesz chciał robić co rozkazuje Bartłomiej, to on cię do śmierci bić będzie! — A więc chodź!

Nie! ja nie pójdę! gdyby mnie nawet miał zabić! odrzekł Fredzio stanowczo. Zostaw mnie tu Urielu! zostaw mnie! ja nie chcę żadnej popełnić zbrodni! Ja tego nie uczynię!

Głupiś! mówił Uriel. Umrzeć odrazu, może to rzecz nie bardzo straszna — ale znosić głód, pragnienie, być bitym, deptanym nogami dzień każdy, to jest okropniejsze nad śmierć samą. Daj się więc namówić i chodź; bo gdy niezechcesz, to ja sam muszę zaraz Bartłomiejowi to powiedzieć. Gdyby to kto inny mu powiedział, wtedy i mnie to samoby czekało co i ciebie, zresztą tej nocy kraść nie będziemy jak drudzy, chodzi tu tylko o figiel, z którego Bartłomiej

dobre pieniądze z zamożnych włościan mieć będzie.

I cóż to za figiel ma być?

Rzecz to jest bardzo prosta. Mamy się wsuwać cicho po oborach, i patrz, oto jest cienka igiełka! — Uriel wyjął jednę z swej kieszeni. Tę igiełkę wpakujemy bydłu a szczególniej koniom pod skórę pomiędzy muszkuły, tak aby tego pod sierścią widać nie było. Bydło i konie posmutnieją, giąć się będą od bolu ryczeć i nic jeść nie zechcą. Wieśniacy nie wiedząc przyczyny, nie będą wiedzieli jak sobie na to poradzić. — Bartłomiej niby przypadkowo nadejdzie i oświadczy, że może słabość tę wyleczyć, jeśli mu zapłacą. Nie jest to żadna sztuka, cała kuracya zależy na tem, aby powyjmować pozakładane w skórę bydlęcia lub konia igły, i zwierzęta będą zdrowe, ale wieśniacy w niewiadomości swojej, będą go mieli za nadzwyczajnego czarownika i kunsztmistrza, i rzucać mu będą wdzięcznemi rękoma pieniądze. Oto jest cała tajemnica mój przyjacielu! a sam uznasz że to nie jest żadne złodziejstwo.

Lecz oszukaństwo, odpowiedział Fredzio, a takim sposobem oszukiwać, jest to samo co kraść, idź sam Urielu! ja nie pójdę z tobą!

Nie róbże głupstwa! odpowiedział Uriel. Patrz tylko w to okno. Widzisz tam twarz? to pewnie Józka, który nas podpatruje, musi mieć jakieś na ciebie podejrzenie; gdybyś tu został, on by zaraz dał znać Bartłomiejowi, więc nie wahaj się dalej!

W istocie, złośliwe oblicze Józka odbiło się na ciemnej szybie okna, widocznie że on się tam zaczaił, aby śledzić Uriela i sierotę.

Nie pokazuj po sobie żeś go dostrzegł, zawołał Uriel, i ruszajmy natychmiast. Nie bój się niczego. Już ja sam dziś wszystko porobię co trzeba, ty mi tylko towarzyszyć będziesz. Ale, niebaw ani chwili dłużej! bo obaj zgubieni jesteśmy!... Ach! ty nie znasz jeszcze Bartłomieja, nie wiesz jeszcze jaki on okrótny! Nie namyślaj się więc, i chodź!

W tej chwili Uriel zgasił świecę w izdebce i ująwszy sierotę za ramię, gwałtem go za sobą pociągnął. Zamknął potem drzwi, w nakazanem przez Bartłomieja miejscu położył klucz, wyszli obaj cicho z podwórza gospody, przesunęli się szybko popod jej oknami, z których jasny blask odbijał, i w jednej chwili byli już na wolnem powietrzu.

Fredzio nie mógł już dalej opierać się Urielowi, który całą tę robotę brał na siebie. Postępował za nim bezwiednie prawie. Tak to wszystko co słyszał, krążyło po jego głowie, a nie przyzwyczajony do występku, nawet zdać sobie sprawy z tego nie umiał. Uriel zwijał się dobrze. W kilku obórkach i stajniach bydło i konie się pochorowały. Mało co więcej, jak w godzinę po wyjściu, obaj chłopcy byli już znowu w pobliżu gospody, w której się jeszcze świeciło, przeskoczyli lekko przez parkan ją otaczający, i wsunęli się ostrożnie, niewidziani przez nikogo, do izdebki.

Tak, dobrze się stało wszystko, rzekł Uriel, który jak był odziany, rzucił się na swe legowisko. Bartłomiej dobry dziś połów mieć będzie, a wieśniacy będą sądzić, że jakieś czary na nich spadły. Cóż ty myślisz o tem?

Sierota nie dał na to odpowiedzi. Płakał tylko i ubolewał, jeszcze bardziej stanęła mu przed oczami jego przeszłość, w której przy babce tak był szczęśliwy, i gdzie same tylko dobre miewał przykłady.

III.

Wszystko to się stało jak Uriel przepowiedział. Nazajutrz, gdy się obudził sierota, ujrzał gospodarza zajazdu z parobkami i służącą załamujących ręce nad koniem, który tej nocy zachorował i którego ledwie ze stajni wyprowadzić zdołano. Koń dotąd piękny, za którego gospodarz jak powiadał, kilkadziesiąt talarów zapłacił, stał zaledwie na nogach, ze spuszczoną do ziemi głową i trząsł się cały. Kilku bliższych sąsiadów obstąpiło zmartwionego tem zdarzeniem gospodarza, a nikt z nich nie wiedział, coby temu zaradzić, nawet w wiosce nie było nikogo, znającego się na słabościach bydła i koni. Cygan z chłopem przyszedł także. Wszyscy słuchali, narzekania gospodarza, wreszcie ozwał się cygan: Co mi dacie, ja wam tego konia uleczę w jednej chwili?

Dziesięć koron nagrody! odezwał się gospodarz.

Zgoda, odpowiedział cygan. Biorę go zaraz do stajni, tylko wymawiam sobie, aby nikt za mną tam nie szedł. Ja go wnet wam tu wyprowadzę zupełnie zdrowego.

I ująwszy konia za uzdę, pociągnął go prawie za sobą do stajni, od której wrota zamknąć kazał. Tam wyjął założone zręcznie igły a po kilknastu minutach wyszedł z tamtąd uśmiechając się.

No! panie gospodarzu! każcie parobkowi wyprowadzić tu konia ze stajni. On już wyleczony!

Czyż to być może? odezwał się zdziwiony i niedowierzający temu gospodarz. Kazał jednak parobkowi wyprowadzić ze stajni konia, który stąpał dobrze i weselszą miał już minę. Gospodarz nie wierzył oczom swym, również włościanie, którzy przed chwilą widzieli tego samego konia widocznie ciężko chorego. Parobek wsiadł na niego i przejechał się na nim pośród zdumionych widzów. Właściciel konia wyliczył natychmiast cyganowi przyrzeczoną kwotę. Włościanie rozchodząc się, roznieśli po wsi wiadomość o cudownym wyleczeniu konia, a wkrótce potem zaczęto ze wsi schodzić się do cygana, prosząc go o leczenie bydła i koni, które się także pochorowały tej nocy.

Fredzio patrzał na to wszystko ze zgrozą. Każda chwila przywodziła mu na pamięć na-

uki poczciwej Małgorzaty, i wzmacniała jego postanowienia o tychże nie zapominać nigdy, strzedz się wszystkiego występku i nie zboczyć z drogi przykazań Bożych.

Cygan uzbierawszy przez ten jeden dzień w wiosce nie małą kwotę pieniężną, wyszedł w dalszą wędrówkę, aby na innym znowu miejscu praktykować oszustwa.

Fredzio czuł się najnieszczęśliwszym, prowadząc taki rodzaj życia. Uriel o mało się sam nie zdradził, że to on sam, bez żadnego udziału towarzysza swego, wyrządził tego figla gospodarzowi domu zajezdnego i wieśniakom. Bartłomiej, sam się tego po trosze domyślał, a może i który z dwóch chłopców, coś mu szepnął o tem, że Fredzio nie chciał iść za Urielem w nocy, tylko aż Uriel go do tego przymusił. To pogorszyło stan obu przyjaciół: Bartłomiej bowiem i z Urielem zaczął się odtąd srogo obchodzić, a sierotę wyraźnie prześladował, tak dalece, że ten nieraz do śmierci prawie chłostany był i deptany nogami, przez okrutnego cygana, a od drugich chłopców, którzy go nie lubili również dotkliwe urągania znosić musiał.

Obłowiwszy się dobrze w tej wiosce, cygan

niedługo tam bawił i powędrował dalej. Nieszczęśliwy Fredzio skazany był na najsroższe udręczenia. W drodze najcięższą torbę nieść musiał tak, że aż do ziemi pod nią się uginał; kiedy jego towarzysze zupełnie próżne mieli barki. A do tego, gdy cygan z chłopcami obficie spożywał podróżne zapasy, jemu jakby psu rzucano zaledwie kawałek suchara.

Wszystko to znosił z pokorą biedny sierota, nie mając się nawet przed kim użalić ze swej nędzy. Uriel nawet, dotąd mu okazujący życzliwość, zaczął od niego stronić, co mu było najprzykrzej, bo tym sposobem był zupełnie osamotnionym. Nawet łzy jego co mu je wyciskała nędza, wywoływały urąganie nietylko samego cygana, ale i chłopców. Nie widział przeto żadnego sposobu uwolnienia się z tego smutnego stanu. Nieraz mu już przychodziła myśl ratować się ucieczką. Lecz... gdzież się miał udać? do wioski w której mieszkał z babką, nigdyby trafić nie mógł, tak krętemi drogami przez lasy uprowadził go z niej cygan. A gdyby nawet tam się mógł dostać, toby go Bartłomiej znowu znalazł i odebrał w moc swoją. A nadto wszystko, tak go ciągle strzeżono, że gdy inni

chłopcy chodzili sobie swobodnie i nikt nie pytał ich coby robili, on jakby więzień jaki obarczony robotą, pilnował rozłożonego ogniska, przy którem Bartłomiej najczęściej sam wypoczywał, lub gdy odchodził, którego z chłopców zostawiał, aby pilnowali skazanego na udręczenie sierotę. W takiej niedoli i udręczeniu przeżył biedak zimę całą.

Na wiosnę kiedy pozieleniało na świecie, kiedy już nadeszła pora, w której na świeżem powietrzu obozować było można, cygan z chłopcami zbliżał się do jakiegoś wielkiego miasta sławnego z jarmarków, a z których pod tę porę jeden przypadał.

Ostatnia to już nasza zimowa praca, rzekł cygan wchodząc do miasta. Cieszcie się chłopcy, za dni czternaście będziemy już w lesie, żyli sobie przy naszem ognisku weseli i bezpieczni od zimowej zawieruchy, starajcie się zatem tu dobrze, gdyż wiecie, że po pracy dobra czeka was nagroda. Nagromadziwszy zapasy w torby, powitamy nasz namiot wesoło.

Okrzyk radości wydali chłopcy. Fredzio tylko westchnął ciężko, wspomniawszy, że on nie ma domu i rodziny, że jest obcy między nienа-

wistnym mu cygaństwem. Że go przy ognisku, w ich szałasie w lesie, nietylko żadna przyjemność nie czeka, lecz samo tylko udręczenie i nędza, na jaką los nieszczśliwy go skazał. Wolałby już wędrówkę, w której choć mu źle było, cygan jednak sam, trochę choć mu folgował, bo go jako tancerza używał zawsze, i najtrudniejsze skoki mu robić nakazywał, aby choć tym sposobem korzyść mu przynosił w zamian, za nędznego suchara, co go spożywał. W lesie zaś nikt go na nic nie potrzebował, i zupełnie o to Bartłomieja głowa nie bolała, aby się dla niego choć o najnędzniejsze pożywienie miał troszczyć.

Weszli nareszcie w miasto, i od rogatek zacząwszy, Bartłomiej ogłaszał trąbką, że będzie pokazywał rozmaite niewidziane dotąd sztuki ku zadziwieniu i zadowoleniu publiczności tutejszej.

Na nie wielkim placyku rozbił swój szałas pod którym chłopcy najdziwaczniejsze wykonywali skoki i tańce. To zwabiło dużo ciekawych, i pieniądze płynęły do kieszeni przedsiębiorcy.

Drugiego dnia, gdy cygan zasnął w swej budzie, a dwaj chłopcy wybiegli do miasta, Uriel

zbliżył się do sieroty namawiając go, aby poszedł z nim dla przypatrzenia się jarmarkowi.

Nie pójdę z tobą, odpowiedział sierota. Idź sam! Oni nawet z ciebie drwić będą gdy cię ze mną zobaczą. Zresztą, nie mam w tem żadnej przyjemności. Zostaw mnie tu samego!

Nie! mój ty biedaku! musisz pójść ze mną!... mówił Uriel. A toby pięknie było, żeby być podczas jarmarku i nic nie widzieć. Chodź! chodź przynajmniej na tancerki popatrzyć! Teraz właśnie dają przedstawienie, obaczysz tam małą Fidelkę, przecudnie tańczy. Wprawdzie ma dopiero dziesięć lat, ale do zdumienia pięknie i zręcznie tańczy.

I to nie pobudziło sieroty. Uriel znowu gwałtem pociągnął go za sobą, i wyszli wprost do cyrku. Przedstawienie było daleko piękniejsze niż w budzie Bartłomieja. Sierota z całą uwagą przypatrywał się temu, co pierwszy raz dopiero w życiu swym widział, a gdy na widok tańcujących po wyciągnionej linie dziewcząt, publiczność klaskała rękami, i Fredziu klaszcząc, także okazywał swoje zadowolnie.

Sierota patrząc na to dziwne i niewidziane dotąd przez niego widowisko, był tak niem za-

chwycony i zajęty, że zapomniał nawet codziennych swych dolegliwości, uczuł, że go ktoś z tyłu klasnął po ramieniu. Obróciwszy się, spostrzegł jednego z tych, co tańcowali na wyciągniętej linie, a który z uśmiechem odezwał się do niego:

A co chłopcze? widzę że ci się to bardzo podobało. Gdybyś chciał, mógłbyś się także tego wyuczyć.

Jabym to chciał, odpowiedział chłopiec z radością. Ależ to jest tak trudne do nauczenia.

Nie tak bardzo, jak ci się zdaje' odrzekł tancerz. Za kilka tygodni wiele nauczyć się można, a gdybyś chciał zostać u mnie, tobyśmy zobaczyli. Jesteś już trochę nawykły do podobnych gimnastyk... I ja byłem niegdyś u Bartłomieja. A jeżeli tylko zechcesz, tobym cię wziął do siebie, toby ci daleko lepiej było u mnie.

To jest niepodobnem, odpowiedział biedny chłopiec. Bartłomiej nigdyby na to nie pozwolił.

Uriel choć słyszał całą tę rozmowę, był na to obojętny. W końcu dopiero przysunął się bliżej do towarzysza swego i życzliwie spojrzawszy na niego, rzekł: Słuchaj przyjacielu! posłuchaj mojej rady i porzuć niegodziwego Bar-

tłomieja! u tego pana będzie ci daleko lepiej! Przyjmij więc jego propozycję!

Ależ Bartłomiej!...

A cóż cię on obchodzić może?

Ależ on na to nie pozwoli!

A, to uciekaj od niego! ja ci to radzę przyjacielu! i to zaraz! bo gdy się Bartłomiej opatrzy jesteś zgubiony!

Słuchaj, jutro jest koniec jarmarku, a ja tej samej nocy odjeżdżam ztąd dalej, powiedział tancerz, przyjdź więc jutro o dziesiątej wieczorem do mnie, to cię z sobą zabiorę. Bartłomiej niech cię szuka jak najdłużej, to cię nie znajdzie. Rozważ to dobrze mój synu, do zobaczenia się!

Przedstawienie się skończyło, Fredzio z Urielem odeszli. Serce jego tak było przepełnione wzruszeniem, że nie mógł słowa wymówić. Uriel milczał także. Tak szli razem do Bartłomiejowej budy, aż na kilkanaście kroków zaledwie przed nią, Uriel ścisnął za rękę sierotę.

Dajże się nakłonić! szepnął mu na ucho Uriel: staraj się umknąć, bo gdy zostaniesz u Bartłomieja i wybierzemy się do lasu na obozowanie, jesteś zgubiony. Lecz, cicho!... nikt

nie powinien nic po tobie zmiarkować, ani się domyśleć gdzie byliśmy. Szczęście, że chłopcy nie wrócili jeszcze z miasta, i Bartłomiej śpi, jak słyszę po jego mocnem chrapaniu. Przezorności więc i odwagi! Wszędzie lepiej ci będzie niż z Bartłomiejem i cyganami. Rozważ to dobrze!

Nie mieli czasu na dłuższą rozmowę obaj przyjaciele, gdyż wkrótce i chłopcy z miasta wrócili, i obudził się Bartłomiej, kazał wyprzątać budę na nowe przedstawienie, i tak do późnego wieczora sierota pracować musiał. Z nadejściem nocy zabrali się wszyscy do spoczynku, Fredzio jednak spokoju nie miał. Bartłomiej widząc go leżącego na ziemi, kopnął kilka razy nogą, za jego nieżręczność, podczas ostatniego widowiska.

Przyjął to cierpliwie nieszczęśliwy Fredziu mając nabitą głowę linoskoczkami, do których uciec postanowił, słuchając rady Uriela. To rzeczą wcale łatwą nie było. W dzień sam Bartłomiej i dwaj chłopcy strzegli go jak oka w głowie, nocą zaś namiot zamykali tak szczelnie, że nie podobna go było opuścić bez jakiegoś szelestu, aby ktokolwiek się nie obudził i nie schwytał go. Nie mógł się więc żadną miarą odważyć

na to, czego prawie niepodobna było dokonać, bez narażenia się na smutniejsze jeszcze następstwa.

Biedny chłopiec strapiony temi myślami, tak się męczył nie zasypiając więcej jak do północy, że w końcu ciężki sen go ogarnął, z którego srogi głos Bartłomieja, zaledwie go obudził następnego poranku. Był to już ostatni dzień jarmarku, który Bartłomiej najlepiej zużytkować pragnął. Sierota musiał skakać i tańczyć od rana do południa, i znowu od południa do wieczora, nie miał zatem najmniejszej sposobności myśleć nawet o ucieczce. W wieczór to samo powtarzał, nie zrzucając z siebie odzienia, w którem występował podczas widowiska. Zaledwie została jeszcze tylko godzina czasu do chwili omówionej ucieczki. I ta minęła na koniec, a Fredziu upadł prawie omdlały, wysilony całodzienem utrudzeniem. Bartłomiej zamknął budę, a wtedy wszystkie nadzieje i zamiary sieroty spełzły na niczem.

Już po wszystkiem, rzekł do siebie cicho ze łzami w oczach, rozbierając się i wdziewając na siebie codzienne odzienie. Bartłomiej siedział przed kasą i obliczał co mu dzień dzisiejszy dał

zarobić. Chłopcy stali koło niego, i ciekawem poglądali okiem na srebro i groszaki rozsypane na stołku. Sierota nie spojrzał na nie nawet; usiadł sobie na ławie przed budą, i rozmyślał o zawiedzionych nadziejach swoich. Serce jego przepełnione było smutkiem tem większym, że nie widział żadnego sposobu wyjścia z najprzykrzejszego położenia.

Kiedy sierota tak był zajęty nawałem myśli, co mu się cisnęły do głowy, i nie mógł się odważyć na krok ostateczny, powoli odchyliła się zasłona od budy i cichy głos Uriela obił się o jego uszy. Nim jeszcze się obrócił do mówiącego, usłyszał nagle, jak najciszej wymówione słowa: „Teraz dla ciebie pora". I w tejże chwili jakby spłoszony rzucił się Fredziu z ławki i chciał uciekać. Ruch jego poruszył ławę, która się zatrzęsła i narobiła hałasu, a nadto jedną nogą zaczepił o sznury, na których buda rozpięta była tak, że cała się poruszyła; i w tejże chwili odezwał się Bartłomiej: A co to za hałas? czy ten łotr czasem nie uchodzi? Patrzcie no chłopcy! i sam po tych słowach wybiegł z budy. Fredziu posłyszawszy szczęściem głos ten przeraźliwy, zerwał się na równe nogi i korzy-

stając z ciemności nocy spiesznie uchodzić począł. Dwaj chłopcy na rozkaz Bartłomieja puścili się pędem strzały za uciekającym i on sam wybiegł także za nimi. Mimo nocnej ciemności dostrzegli, w którą stronę uciekał, on jednak, dobywając ostatnich sił swoich, jak jeleń ścigany przez myśliwych, uchodził sierota co mu sił starczyło od swego pana prześladowcy, a im głębiej zapuszczał się w miasto, w którem światło latarń oświecało jeszcze ulice, tem bliżej był goniących go, tem niepodobniejsza ucieczka się zdawała. Nakoniec, gdy Bartłomiej z chłopcami już go prawie pochwycić mieli, zrospaczony Fredziu przebiegając obok ciemnej uliczki idącej w bok, a w której latarni już nie było, zwrócił się w nią i po omacku dalej uciekał. Tu stracili go goniący z oczu, co mu bardzo posłużyło do zyskania trochę czasu, aby się od nich oddalić. W uliczce tej budował się jakiś dom nowy, i cała prawie kupami gruzu i piasku była zasypaną. Trwoga i rozpacz dodawała mu siły do ucieczki, a myśl, że w razie pochwycenia, śmierć by go niezawodnie czekała, pędziła go na oślep, choćby na złamanie karku. Takim sposobem wpadłszy na kupę gruzów, znowu się

potknął i upadł, potoczywszy się w jakiś dół głęboki. Goniący go Bartłomiej z chłopcami na to nadbiegii, i ta sama kupa gruzu i piasku i ich zatrzymała. Bartłomiej widział Fredzia, że się skierował w tę ciemną uliczkę, teraz zaś straciwszy go z oczu a zatrzymany przez rumowisko, nie wiedział co począć. Chłopcy nadbiegli także za nim. Jeden z nich rozpatrując się w ciemności, ujrzał dół pomiędzy gruzem. On tu się schował najpewniej! zawołał, to nam nie ujdzie, odpowiedział Bartłomiej, bo ztąd nie prędko wylizie. Zresztą rano udacie się do policyi a ta go wyszukać musi i odda w moje ręce. Wartoby tu poczekać do rana, bo sobie ten zbereźnik poradzi a wygramoliwszy się stąd schowa się gdzie, że go i policya nie znajdzie, tak mówił jeden z chłopców. Dół jest głęboki na dziesięć łokci, jeżeli tu wpadł, to jest trupem, bo podłoga wyłożona kamieniem, odpowiedział Bartłomiej ze złością, najpewniej pobiegł ku miastu. Chodźmy stąd lepiej! bo jeśli tu go nie ma, to czas stracilibyśmy na próżno, a chłopiec tryumfować będzie. Ale! niedoczeka tego! z piekła nawet go wydobędę! nie ujdzie pomsty mojej.

Wszystkie te groźne słowa słyszał sierota w lochu, w który wpadł, jakby na swoje szczęście. Rozpatrzywszy się dobrze w ciemności, widział, że jest w sklepionej piwnicy, która się ciągnęła po pod całym budującym się domem. W każdym razie myślał sobie, że prześladowcom jego, choćby w dzień nawet, przystęp do niej nie będzie łatwy. Zresztą usłyszawszy odchodzącego Bartłomieja i chłopców nabrał otuchy, widząc nad sobą wyraźną bożą opiekę, która go zasłoniła od oczu prześladowców. Ukląkłszy więc na wilgotnym dnie lochu modlić się zaczął. Długo tak przetrwał na modlitwie, przy której gorące łzy z oczu mu płynęły. Gdy ją skończył, zaczął rozpatrywać miejsce, w którem się znajdował. Gruzy zasypywały także część piwnicy od strony ulicy, i przez to miejsce potknąwszy się w biegu, tu się dostał. Dalsza część piwnicy rozciągająca się po pod budującym się domem była wolniejszą od gruzów. Zaczął więc biedny chodzić po niej powoli, szukając miejsca, którędy by się mógł z niej wydostać. Najbardziej mu chodziło o pospiech, gdyż zapowiedział mu przedsiębiorca linoskoków, że go czeka tylko do

dziesiątej godziny, a tu zegar miejski wybił jedenastą, a on był jeszcze w lochu.

Obszedłszy całą piwnicę, nie znalazł w niej żadnego wyjścia, schody bowiem do niej jeszcze nie były przyprawione i cała piwnica jeszcze nie była wyporządzona, co dopiero po uprzątnieniu gruzów w ulicy miało być dokonanem; nie było więc innego sposobu, jak szukać wyjścia przez to samo miejsce, którem tu się był dostał. Zaczął więc się gramolić po gruzach, i choć mu się z pod nóg usuwały, zsypując się ciągle w dół, zdołał jednakże, pomagając sobie rękami, wydostać się powoli znowu do góry. Nim jeszcze wyskoczył na ulicę, nadsłuchiwał, czy w istocie nie ma już tam nikogo, to jest cygana lub jego chłopców; a upewniwszy się, że odeszli, wyskoczył co prędzej i tą samą uliczką pobiegł dalej, trzymając się zawsze blisko ścian domów, aby go nie tak łatwo dostrzeżono, gdyby kto nawet na niego czatował.

Tym sposobem dobiegł aż do placu, na którym stały budy rozmaite. Tu znowu nowa spotkała go trudność, gdyż nie wiedział, jak poznać pomiędzy niemi tę, do której dążył.

Przystanął więc na chwilę, namyślając się

co ma czynić. Przed jedną z nich spostrzegł człowieka, który ujrzawszy go, postąpił naprzeciw niego.

Już straciłem nadzieję, abyś przyszedł mój chłopcze, kiedy cię nie było aż do tej pory. Cały mój tabor gotów zupełnie do drogi. Chodź więc co prędzej, wyjeżdżamy natychmiast.

Po głosie poznał Fredziu przedsiębiorcę linoskoków. A choć już był u niego, trwożnie poglądał po za siebie, czy go jeszcze kto nie goni, tak był przerażony tem, co go już spotkało. Nowy jego pan ująwszy go za rękę, wprowadził do niezdjętego jeszcze namiotu i tam go przedstawił całej swojej kompanii, która go życzliwie przywitała. W tejże samej chwili, raniutko bardzo ruszono z miejsca. Nim zeszło słońce byli już o dobre trzy mile od miasta oddaleni, w którem zostawili cygana wściekającego się ze złości, że mu sierota umknął.

IV.

Kilkanaście dni trwała podróż wędrownej trupy linoskoków, z którymi Fredziu uciekł od prześladowcy swego, nim stanęli w jednem dużem mieście, i tam mieli dawać przedstawienia.

Przez drogę Fredziu zaznajomił się z towarzystwem całem, gdzie wszyscy przyjaźnie się z nim obchodzili. Najwięcej mu jednak okazywała życzliwości mała tancerka, której zręczność podziwiał od czasu, kiedy ją pierwszy raz zobaczył. Przez całą drogę siedzieli razem zajęci nieustanną z sobą rozmową. Sierota opowiadał jej swoje dotychczasowe życie, czem bardzo wzruszoną była Fidelka, (było to imię tancerki). Najbardziej ją oburzała srogość cygana. Wzajemnie powiedziała mu o sobie, że jest także sierotą, którą przyjął na wychowanie pan Jelonek, dyrektor trupy linoskoków, człowiek dobry i miłosierny, który z wszystkiemi dobrze się obchodził.

Cała ta podróż przyjemnie przeszła dla nich obojga. Gdy przybyli do miasta, pan Jelonek postarawszy się u władzy miejscowej o pozwolenie dawania widowisk, zaczął do nich czynić przygotowania.

Nazajutrz po przybyciu trupy, odbyło się przedstawienie, na którem Fidelka mała tańczyła na linie. Z ciekawością wyglądał Fredziu nadejścia wieczoru, tak był ciekawy występów tancerki. Wreszcie ku wieczorowi otworzono

przystęp do kasy, gdzie sprzedawano bilety, a publiczność w wielkiej liczbie na przedstawienie cisnąć się zaczęła. Widowisko poszło pomyślnie. Publiczność cała zadowolona, podziwiała małą tancerkę, której huczne dawano oklaski. Fredziu nie należąc jeszcze do przedstawienia, był tylko widzem i dawał oklaski.

Po skończonem przedstawieniu, którego układ cały jako i wykonanie podziwiał, usiadł sobie na stronie i głęboko się zamyślił. Tancerka odpocząwszy po trudach wystąpienia, zdziwiła się, niewidząc swego towarzysza, zaczęła więc go sama szukać, a znalazłszy w kąciku siedzącego i smutnego, zapytała o przyczynę. Jak się nie mam smucić? odpowiedział chłopiec, kiedy jestem pewny, że się nigdy nie nauczę tego, co ty umiesz, a przez to pan Jelonek wypędzi mnie od siebie z pewnością. Bądź o to spokojny, odpowiedziała Fidelka. Pan Jelonek tego nie uczyni. A potem powiem ci, że to rzeczą nie jest taką trudną, jak ci się zdaje, a widząc nadchodzącego dyrektora, dodała: Słuchajno pan, co tu mówi nowo przyjęty przez pana uczeń, że niepotrafi nigy nauczyć się tańcować, jest w obawie, że go pan wypędzisz od

siebie. A ja jestem pewną, że wkrótce oboje razem tańcować będziemy, chciej go pan uspokoić?

I ja spodziewam się, że to wkrótce nastąpi, odpowiedział dyrektor z uśmiechem. Że sobie niedowierzasz, to ci nie przynosi żadnego wstydu, to dowodzi, że chcesz się uczyć! Pewność bowiem siebie, i zarozumiałość jest cechą nieuków. Miej tylko cierpliwość, moje dziecko! z *cierpliwością i wytrwałością przy dobrej woli, człowiek wiele pokonać może trudności.* I to co się najcięższem wydawało, najłatwiej osięgnąć przychodzi. Zobaczymy jak to będzie! Jutro zacznę z tobą naukę mój synu, a jeżeli jeszcze mała Fidelka zechce się szczerze zająć tobą, jak to po niej widzę, to prędko wielki postęp w tej sztuce zrobisz.

Fidelka przyrzekła niezaniedbać usilności z swojej strony, by nowy uczeń jak najprędzej się podobnych sztuk wyuczył. Pierwsza ta lekcja poszła dość łatwo, jak się pokazało był już poduczony w szkole u cygana. Członki jego były dość gibkie i przyzwyczajone do wykręcania się rozmaitego, bardzo się nadały do skoków miarowych. Gdy pierwsze trudności nowej nauki

przełamano, chłopiec w krótkim przeciągu czasu tak zadziwiające czynił postępy, że sam dyrektor nawet, nie mało się temu zdziwił.

Podczas jednej takiej lekcyi, gdy Fredziu najtrudniejsze zaczął wykonywać skoki co bardzo ucieszyło Fidelkę, powiedziała do niego:

Widzisz mój przyjacielu, że ci się udaje. Teraz więc możemy już zacząć występować razem, pewną jestem, że pan Jelonek na to się zgodzi.

Zobaczymy jeszcze! odpowiedział dyrektor z uśmiechem. Nie mamy się czego bardzo z tem spieszyć. Nie naglij go więc Fidelko, mamy na to jeszcze dość czasu nim nowy uczeń występować zacznie.

Wiedziała Fidelka, że pan Jelonek ma słuszność. Nabiła jednak sobie tem głowę, że przyjaciela wystąpienie wielkie powodzenie mieć będzie i dla tego, co dzień po kilka godzin tem się zajmowała sama, aby jej przyjaciel ciągle się ćwiczył i nabierał wprawy, powtarzało się to nawet wieczorami przy świetle lampy; na koniec sama nalegać zaczęła na dyrektora, aby mu pozwolił wystąpić przed publicznością i bła-

gała, aby już na jutrzejsze przedstawienie nowego ucznia zapowiedział.

Muszę jeszcze sam się przekonać, odpowiedział dyrektor. Czy tylko gorliwość twoja cię nie zaślepia?

Zobaczysz pan sam czy mówię prawdę! odpowiedziała z niejaką dumą Fidelka, i poprowadziła z sobą dyrektora, aby zobaczył jej ucznia. Ku zdziwieniu potwierdził on zdanie Fidelki i nazajutrz wystąpienie nowego ucznia ogłosił.

Publiczność licznie się zgromadziła. Fidelki z przyjacielem wystąpienie, nadzwyczajnie się podobało wszystkim, i to tak dobrze, że pan Jelonek nie mógł się skarzyć na dochód, jaki mu dawały te przedstawienia: tak, że nad zamiar swój, kilka tygodni dłużej pozostał w mieście, bo publiczność sama żądała tego. Powtarzało to się i w innych miastach, a wszędzie publiczność wyrażała Fidelce i Fredziowi swe nadzwyczajne zadowolenie.

Lecz nadzwyczajność nigdy długo niepotrwa. Nad losem sieroty chmury gromadzić się zaczęły. Jedna z tancerek, Helena, zazdrośna była powodzeniu i oklaskom młodego ucznia, jakie odbierał. Ona była primadonną trupy i odbie-

rała oklaski zawsze, występując razem z małą Fidelką. Teraz, gdy sierota zajął jej miejsce i z małą swą przyjaciółką na pierwszym zawsze występywał planie, postanowiła sobie, bądź co bądź, jego się pozbyć. Zaczęła od podburzania przeciw niemu całego towarzystwa, które dotąd życzliwem sierocie było, i dokazała swego, pociągnąwszy większą jego połowę na swoją stronę.

Sierota, widząc tych, co mu z początku okazywali życzliwość swoją, coraz obojętniejszemi dla siebie, nie mógł wyjść z zadziwienia i pojąć, czemu to przypisać. Mówił raz o tem z przyjaciółką swoją. Czyż tego niewidzisz? odpowiedziała mu! że Helenę zazdrość opanowała, odkąd ty odbierasz oklaski publiczności. Lecz nie zważaj na to. Pan Jelonek zawsze tobie jest przychylny. O innych nie dbaj, to z czasem przejść musi.

Takiemi słowy mała Fidelka uspakajała swego przyjaciela. Przedstawienia postępowały po sobie z niezmiennem powodzeniem i zadowoleniem publiczności. Fidelka i jej młody przyjaciel mieli przed innemi pierwszeństwo. Helena nieukojona w swej zazdrości, na każdym kroku stawiała obojgu przeszkody, gniewając się na

małą Fidelkę za jej życzliwość, dla nowego członka ich trupy.

Podczas jednego przedstawienia, gdy Fidelka tańcowała sama na wyciągniętej linie, jedna z lamp oświecających scenę pękła, i oblała ją gorącą oliwą, co sprawiło, że zakończyło się przedstawienie, gdyż Fidelka z oparzenia bole mając okropne, tańcować już nie mogła. — Przywołany zaraz lekarz oświadczył, że przez miesiąc najmniej, występować nie powinna, co ją samą wielce zmartwiło, gdyż widząc niechęć większej części całego towarzystwa dla swego przyjaciela, strzegła go od zawziętej Heleny, jak również i od przykrości, jakieby oni sprawić mu mogli. Cóż się więc z nim stać może, kiedy ona z nim nie będzie? o to się najbardziej trapiła.

Gdy na drugi dzień zapowiedziane było nowe przedstawienie, Fidelka kazała poprosić do siebie dyrektora, który ją, jakby za własną uważał córkę. Kiedy wszedł, prosiła go, aby jej zrobił tę łaskę, aby przez cały czas jej choroby Fredzio niewystępował, bo bez niej żleby się mógł popisać. To być nie może moje dziecko! odpowiedział pan Jelonek, oprócz ciebie Fidelko on jeden u mnie z całego towarzystwa, jest naj-

pierwszym z tancerzy. Zresztą przedstawienie jest na jutro zapowiedziane i on w niem jest wymieniony. Cóżby na to powiedziała publiczność? że ją oszukuję, że ją pozbawiam dwojga najznakomitszych tancerzy, to jest ciebie moja mała, i jego. O tobie wie już publiczność, bo w jej obecności stał się ten przypadek, który cię do łóżka przykuł, ale niczem niemożnaby wytłómaczyć jego nieobecności.

Nie zaspokoiły ją wcale słowa dyrektora. Była bowiem w obawie, że w jej nieobecności, coś się może złego przytrafi przyjacielowi, a to tem bardziej, że nie będzie mogła go zasłonić od zasadzek, jakieby zła wola, przeciw niemu nastawić mogła. Powiedziała to wszystko opiekunowi swemu, który jej przyrzekł, że sam czuwać będzie nad tem, aby się chłopcu nic złego nie stało.

Przy następnej reprezentacyi rozpoczął taniec na linie mały Fredzio, który z początku szedł bardzo szczęśliwie. Publiczność rzęsiste dawała oklaski. Przy zwrocie jednak tancerz pobladł nagle, i gdyby nie był się uchwycił drugiej nad sobą rozciągniętej liny, byłby upadł wśród widzów, którzy wydali okrzyk trwogi.

Przytomność tancerza wywołała nowe brawo. Dokończył więc taniec Fredziu, zszedł z liny i udał się do izdebki przyjaciółki, której o swoim przypadku opowiedział.

Przyczyną tego było, że dotańczywszy do końca liny, kiedy się miał zwracać, spostrzegł pomiędzy widzami okropną twarz Bartłomieja, grożącego mu palcem. Pobladł więc nagle z trwogi, choć był pewnym, że go od pana Jelonka nie weźmie, pamięć jednak, tej piekielnej mocy, w jakiej przez czas tak długi zostawał, tak mu się żywo przypomniała, że gdyby się był szczęśliwie nieuchwycił liny, byłby upadł na ziemię.

Co cierpiała Fidelka, słuchając tego opowiadania, domyśleć się łatwo. Współczucie dla przebytej niedoli swego małego przyjaciela obejmowało ją całą. Tu już domyślać się zaczynała, że Helena może być w zmowie z cyganem i odtąd wymogła na opiekunie swoim, że jej przyjaciel, póki sama nie wyzdrowieje zupełnie, nie będzie występował przed publicznością.

Kiedy po kilkunastu dniach zdrowie jej polepszyło się o tyle, że już z łóżka wstać mogła, siadywała sobie przed domem zamieszkałym przez pana Jelonka i towarzyszy. Najczęściej

przyjaciel jej był przy niej. Razu pewnego pan Jelonek posłał go do miasta, a ona sama jedna tylko została. Nagle ujrzała zbliżającego się ostrożnie ku domowi jakiegoś nieznajomego człowieka, z złowrogim wyrazem na twarzy, a znając osobę z opisów przyjaciela swego, domyśliła się, że cygan aż tu się ośmielił za nim śledzić, by go dostać w swoje szpony. Weszła więc na powrót do domu i przez okno przypatrywała się cyganowi, śledząc wszystkie jego ruchy i obroty. Po chwili ujrzała z tylnej strony domu wychodzącą kobietę, która cyganowi tajemne jakieś dawała znaki. W końcu cygan ostrożnie przybliżył się do niej, szepnął jej słów parę i spiesznie się oddalił. Kobietą tą była Helena, którą Fidelka poznała pomimo jej przebrania. Teraz dopiero zrozumiała, że Helena była z cyganem w zmowie, że cała niechęć dla biednego chłopca z tego źródła pochodziła i przekonała się, że istotnie niebezpieczeństwo przyjacielowi jej grozi, że cygan czeka tylko, aby go dostać w swoje szpony, i aby zemsty swej na nim dokonać. Nie zostawało więc nic innego biednemu sierocie, jak uchodzić co prędzej z

miejsca, w którym takie zasadzki na niego zastawiono.

Za powrotem chłopca z miasta powiedziała mu Fidelka to wszystko, co widziała i czego domyślała się sama, złożyli radę, co dalej począć. Wprawdzie pan Jelonek nigdy by go od siebie nie puścił, ani by go przemocą wydrzeć sobie niedał, od zdrady jednak zabezpieczyć się trudno było, a to tem więcej, że cygan pomiędzy jego towarzyszami miał już swoich stronników. Nie pozostawało więc biednemu sierocie nic innego, jak ratować się ucieczką i to natychmiast.

Lecz gdzie się udać na razie? kiedy sierota nikogo ze znajomych nie miał i do jakiegoby wziąść się zawodu? W tych myślach, które krążyły po jego głowie, błąkał się długo po ulicach, wypatrując tylko, aby się znowu nie spotkać gdzie z prześladowcą swoim. W tem ujrzał rozciągnięte duże płótno, na którym rozmaite zwierzęta wymalowane były. Z umieszczonego napisu dowiedział się, że właściciel wielkiej menażeryi przybył do tego miasta z wielką liczbą dzikich zwierząt, które przez niego ułaskawione, i ma je okazywać miejscowej publiczności. Zbliżywszy

się do budy zobaczył właściciela, który go prosił aby bliżej przystąpił, to jemu samemu okaże te cuda, których pracą swą dokonał, powiedział przytem, iż za zaszczyt sobie to poczyta, że taki sławny tancerz pierwszy je dziś widzieć będzie, nim publiczność tutejsza.

Pochlebiło to młodemu chłopcu, zresztą myślał sobie, że przypatrując się tym strasznym i ciekawym zwierzętom, których w życiu nie widział zapomni o trosce, która go przygniata: a może też przyjdzie mu jakaś myśl szczęśliwa, dokąd się ma udać. Wszedł więc do zagrody, gdzie pomieszczono menażeryę. Z ciekawością przypatrywał się tym wszystkim dzikim zwierzętom, zamkniętym w żelaznych klatkach. Właściciel menażeryi z uprzejmością oprowadzał go i pokazywał mu te ładne okazy. Był tam i lew afrykański trzymany w osobnej nadzwyczaj grubej klatce, do którego, gdy się zbliżyli, właściciel menażeryi zaczął z nim rozmawiać, lew każdym poruszeniem okazywał, jakby rozumiał mowę jego. Nakoniec właściciel podał mu rękę, na której lew położył swą łapę, jakby na powitanie. Właściciel rozmawiając głaskał kudły i głowę lwa lewą ręką, a w prawej dłoni

trzymał jego łapę. Lew obojętnie przyjmował karesy swego pana, przypatrując się obok stojącemu ślicznemu chłopcu, na którego dziecinnej twarzy malowała się łagodność i dobroć. Chłopiec przypatrywał się także ciekawie temu ogromnemu zwierzęciu, a zapomniawszy się prawie, przybliżył się i zaczął głaskać łapę lwa trzymaną w właściciela dłoni. Lew podniosłszy nagle jedną swą łapę położył ją sam na ręku chłopca, najłagodniej do niego się przymilając. Właściciel chciał przeszkodzić zbliżeniu się chłopca, do tego olbrzyma puszcz w obawie, aby go nie narazić na kalectwo lub śmierć nawet, i chciał odsunąć chłopca od klatki. Widocznie nie podobało się to lwu. Najeżył swą grzywę i z całej siły zatrząsłszy klatką zaryczał straszliwie, tak że sam właściciel się strwożył. Chłopiec stał spokojnie i nie był wcale tem zmieszany. Lew rwał się w klatce i swe łapy wyciągał jakby niemi chciał ująć chłopca. Właściciel przewidując niebezpieczeństwo dla niego zaczął go poskramiać. To przemawiał do niego najłagodniej, to mu rzucał jadło pod nogi, lecz lew nie uspokajał się wcale, tylko tem większy gniew okazywał. Nie wiedziano już co dalej ro-

bić, bo inne dzikie zwierzęta, słysząc ten głos okropny króla puszczy, niepokoić się także zaczynały. W tem chłopiec niezważając na właściciela, zbliżył się znowu do lwa, który trzymał swe łapy wytknięte przez żelazne kraty klatki i pogłaskał je. W tej samej chwili, lew się ułagodził, i ująwszy drobną rękę chłopca, zaczął się z nią pieścić i okazywał widocznie że mu się to nie podobało, gdy mu odbierano to dziecko, które upodobał sobie. Rozmaitym sposobem radość swoją okazywał. To przylegał do ziemi, to szybko wstawał znowu, nie wypuszczając z swej olbrzymiej łapy dłoni dziecięcia, które ośmielone zaczęło go głaskać po grzywie i głowie. Radość lwa była nie do opisania, bo w końcu zaczął lizać po ręce chłopca.

Zadziwienie właściciela było nadzwyczajne. Przywołał żonę i innych swych ludzi, aby patrzyli na to widowisko. Jej zadziwienie było niemniejsze, gdy ujrzała lwa jak się przymilał chłopcu i wyraźnie pokazywał, że chciał tego, by go do klatki wpuszczono.

Właściciel menażeryi widząc chłopca bawiącego się ze lwem w zupełnem bezpieczeństwie, odszedł na stronę i z żoną swą rozmawiać

zaczęli. Potem przystąpiwszy do Fredzia zapytał go, czy nie zechce przyjąć u niego miejsca, ofiarując mu za to znaczne wynagrodzenie. Chłopiec widząc w tem zdarzeniu widoczną nad sobą Bożą opiekę, zgodził się na to. Żądał tylko, aby właściciel poszedł z nim do pana Jelonka, by mu to oświadczył, on zaś chce jego jak również drogą swoją Fidelkę pożegnać, ona go bowiem do tego nakłoniła, aby szukał innego zajęcia.

Poszli więc oba razem. Pan Jelonek uprzedzony od Fidelki o niebezpieczeństwie grożącym chłopcu, skoro cygan tak zawzięcie na niego czatuje, łatwo zgodził się na to, ochraniając go od napaści, a choć mu żal było stracić najzdolniejszego małego tancerza w swojej trupie, życzył mu wszelkiego szczęścia. Na pożegnanie wsunął mu nawet w rękę spory woreczek pieniędzy. Sierota pobiegł także do Fidelki, aby ją pożegnać i podziękować jej za życzliwość, z jaką była dla niego, jak również za czuwanie nad nim i opiekę.

Pożegnanie to wycisnęło łzy obojgu dzieciom. Przy rozstaniu powiedziała mu tylko: Pomnij przyjacielu, że się nie na zawsze żegnamy,

zobaczymy się kiedyś znowu. Daj Boże, aby to prędko nastąpiło. Tymczasem idź za swojem przeznaczeniem. Widocznie Bóg kieruje kroki twoje. Litościwy on i miłosierny! I jam sierota, i mnie on nie opuszcza, kiedy mi dał tak dobrego opiekuna, jakim jest mój pan Jelonek. Bądź zdrów mój przyjacielu, rzekła podając mu na pożegnanie rękę: niezapominaj nigdy życzliwej ci Fidelki.

Rozrzewniony tem pożegnaniem chłopiec wyszedł ztamtąd z swym nowym panem, który z ukontentowaniem zabierał do siebie ten nowy nabytek, a z którego wielkie dla siebie rokował korzyści. Bo gdy lew okazał mu taką życzliwość ujęty jego łagodnością, to czegoż on dokazać nie potrafi i z innemi również srogiemi zwierzętami.

V.

Drugiego dnia opuściła miasteczko menażerya, którą na ogromnych wozach przewożono, z całym taborem, a z nią i Fredzio pojechał, czując się bezpiecznym od pogoni Bartłomieja, któremu, gdy powiedziała Helena, że chłopiec uszedł

do wioski, w której się wychowywał przy starej Małgorzacie, podążył za nim w tamte strony.

Kilkanaście dni Fredzio jechał z menażerją, a przez ciąg tej podróży, jeszcze lepiej z lwem się zaprzyjaźnił, dał mu się powodować i jak pies był mu we wszystkiem posłuszny. Nakoniec stanęli w jakiemś wielkiem mieście, w którym dłuższy czas przebyć zamierzyli. Właściciel menażerji najął plac obszerny, który okrążono wysokim parkanem i wewnątrz rozstawiono klatki ze zwierzętami. W samym zaś środku ustawiono klatkę lwa, do której ze wszech stron przystęp był wolny.

Właściciel menażerji w ogłoszeniach o przybyciu tejże do miasta dodał, że chłopiec lat dwunastu, sławny niegdyś tancerz na linie z trupy Jelonka pokazywać się będzie, jako sławny poskromiciel zwierząt i dzikiego lwa afrykańskiego rozdrażnionego aż do wściekłości, uspakaja kilku słowami.

Ogłoszenie takie zadziwiło miasto całe. Publiczność licznie zbierać się zaczęła dla przypatrywania się tej osobliwości, a patrząc na to przedstawienie w największej trwodze, oczom swoim wierzyć nie chciała. Piękny chłopczyk

rozmawiał z lwem najłagodniej, a ten we wszystkiem był mu posłusznym. Bawił się z nim i pieścił, obejmował go za szyję głaszcząc po grzywie i głowie, siadywał w jego klatce najspokojniej, czytając sobie książkę, a nawet kładł się na podłodze; wtedy i lew rozciągał się na niej także swobodnie, i łagodnie na leżącego chłopca spoglądał.

Właściciel menażeryi gromadził z takich przedstawień znaczne pieniądze. A choć sam z lwem oswojony, chciał jeszcze spróbować, czy w rzeczy samej lew tak polubił chłopca, czy to tylko jest chwilowe upodobanie, kaprys, który łatwo przejdzie i żadnego po sobie nie zostawi śladu. Usunął więc chłopca na kilka dni od lwa, sam się tylko nim zajmując jak dawniej. Lew posmutniał w klatce. Właściciel myślał że to przejdzie, jeżeli w dni następne widzieć go nie będzie. Lew tęsknił widocznie, niechciał jeść nawet, choć mu teraz obficiej dostarczano pożywienia. Wszystko nietknięte leżało obok niego. Po kilku dniach osłabł zupełnie i leżał rozciągnięty na podłodze klatki bez żadnego ruchu. W końcu właściciel obawiając się utraty tak kosztownego zwierzęcia, kazał znowu chłopcu

aby mu się pokazał. Przyszedł sierota, lew leżał z przymrużonemi oczyma jak zawsze. Gdy się odezwał do niego, podniósł głowę i poznawszy go usiłował stanąć na nogi chwiejąc się z osłabienia. Rzucono mu kawał mięsa, który uchwycił z żarłocznością, zawsze się oglądając na chłopca, i znowu jeść przestał jakby się obawiał, by on powtórnie nie odszedł Chłopiec zachęcał go do jedzenia, wszedł do klatki lwa, zaczął go karesować po dawnemu, lew nasyciwszy prędko apetyt, zaczął podskakiwać z radości. To przekonało właściciela, że lew istotnie przywiązał się do chłopca, i że go już od niego odłączać nie można.

Zdarzenie to powiększało jeszcze sławę menażerji; dla widzenia jej zjeżdżano się z odleglejszych nawet stron do tego miasta. Powiększało to także i dochody jej właściciela i to tak dalece, iż mówiono że chciałby komu ją odstąpić uzbierawszy sobie już tyle, że może kupić jakąś majętność ziemską. Narazie ani kupca na menażeryą, ani dogodnej majętności niemógł sobie upatrzyć, pozostał więc dłużej na miejscu.

Pan Kasanowa, tak nazywał się właściciel menażeryi, polubił bardzo chłopca, przez którego

menażerja takiej sławy nabrała i takie ogromne przynosiła korzyści. Płacił chłopcu dobrze, by go nie stracić. Zresztą chłopiec ujął go sobie bardzo, opowiedziawszy z największą szczerością całą swoją przeszłość. Pan Kasanowa, człowiek dobrego serca a do tego niemając własnych dzieci, może nawet zamyślał uczynić go swym kiedyś spadkobiercą, okazując mu zawsze największą życzliwość.

Pewnego razu, odezwał się do chłopca: Wiesz mój przyjacielu, że chcę ci podać jedną radę, która ci na dobre wyjść może. Masz odemnie tyle, że nie możesz wydawać tego wszystkiego na swoje potrzeby, zawsze ci coś jeszcze pozostaje. Wartoby, abyś korzystając z czasu wolnego uczył się czegoś więcej, nad pilnowanie zwierząt, czem całe życie zajmować się nie możesz. Lecz czegoż mam się uczyć mój panie? spytał go chłopiec? Najpierwej mój przyjacielu ucz się języków. To w świecie najpotrzebniejsze, abyś w każdym kraju, do którego przybędziesz, mógł się rozmówić. Ja naprzykład zwiedziłem już Francyą, Polskę, Anglią, Włochy i dobrze mi z tem, że wszędzie z ludźmi porozumieć się mogę.

Posłuchał chłopiec tej dobrej rady, i w każdem mieście, w którem dłuższy czas bawił z menażeryą postarał się o nauczyciela u którego się pilnie uczył. Tym sposobem w krótkim czasie, bo w niespełna dwóch latach, nauczył się kilku języków, i nabył wiele innych potrzebnych wiadomości.

Tak podróżując od kraju do kraju, z miasta do miasta, pan Kasanowa z menażeryą swoją przybył do Saksonii gdzie dłużej pobyć sobie zamierzył. Zimę postanowił przepędzić w Lipsku. Przybywszy tam, najął wielki dom z obszernym dziedzińcem, w którym pomieścił menażeryą zamyślając dawać przedstawienia, nim nadejdzie pora zimowa. I tu mu szło dobrze, jak wszędzie, publiczność uczęszczała licznie, czas prześlicznej jesieni nie pozwalał nikomu zostawać w domu. Wieczorami nawet oświecano menażeryą, bo wielką była zawsze liczba ciekawych przypatrzenia się chłopcu bliżej, który takie dziwy z lwem dokonywał.

Jednego dnia spostrzeżono kilka powozów podjeżdżających do menażeryi. Wszystkie widocznie należały do jednego wielkiego dworu. Konie w przepysznej uprzęży, ludzie w bogatą

liberyą ponbierani byli. Powozy podjechały do bramy, jeden z lokai stąpił z siedzenia i zapytał o właściciela, któremu, gdy się tenże pokazał, oświadczył, że pan jego życzy sobie zwiedzić menażeryą, za to suto zapłaci, z tem jednakże warunkiem, aby nikogo więcej pod ten czas nie wpuszczano. Właściciel zgodził się na to najchętniej. Otworzono bramę. Państwo powysiadali z powozów, weszli do wnętrza i natychmiast za nimi zamknęły się wrota i spuszczono zasłony.

Najprzód postępowały dwie damy. Pierwsza bogato ubrana, prowadziła za rękę chłopczyka w wieku naszego sieroty lub może rokiem starszego, który z biczykiem w ręku, potrzaskiwał sobie. Obok nich postępowała druga dama w czarnem odzieniu z ciężkiej jedwabnej materyi, kapelusz na głowie miała także czarny. Rysów jej twarzy nie można dostrzedz było z powodu czarnego woalu, który spuszczony, całą jej twarz zakrywał. Za nimi postępował mężczyzna średniego wieku, dumnej postawy i oblicza.

Wszedłszy do środka, nie zastanawiali się długo nad zwierzętami, z których menażerya się składała. A choć właściciel przewodnicząc opo-

wiadaniu o każdym zwierzęciu, mówił skąd pochodzi, jaki rodzaj jego życia, czem się żywi, i tem podobnie, państwo zaledwo spojrzeli na to wszystko, bo to widzieli już nieraz, żądali tylko, jak najprędzej zobaczenia lwa z młodym chłopcem, o którym szeroko sobie opowiadano. Właściciel wprowadził ich w sam środek, opowiadając o tem królu puszcz, którego gniew chłopczyk mały kilku uspokajał słowami. To słysząc panicz, powiedział, że spróbuje na nim swego biczyka. Matka odradziła mu to uczynić, on zaś nic jej na to nie odrzekł, właściciel słysząc to i obawiając się złych skutków rozdrażnienia lwa prosił, aby się zbyt nie przybliżano do klatki.

Weszli więc wszyscy do środka menażeryi, w której w odosobnionem miejscu stała klatka lwa. I cóż ujrzeli? Chłopiec w środku klatki siedział na podłodze i sparty na ręku, czytał jakąś książkę. Lew rozciągniony także na niej spoczywał, mając oczy zwrócone na chłopca, a łapami dotykając kolan jego. Fredzio nie zwrócił uwagi na przypatrujących mu się gości. Panicz wyrwawszy się z rąk pani pobiegł do klatki i włożywszy rękę przez szczeble, zaczął

swym biczykiem uderzać z całej siły po grzywie lwa, który się zerwał na nogi i zatrząsł klatką. Gospodarz strwożył się tem postępowaniem panicza, lękając się złych następstw tego rozdrażnienia zwierzęcia, prosił, aby państwo odeszli, by go prędzej uspokoić można. Lew ryczał przeraźliwie i potrząsał klatką tak że grube szczeble żelazne usuwać się zaczęły. Chłopiec nie bojąc się wcale o siebie, zawołał tylko z klatki, aby co prędzej spuszczono zasłony, by tym sposobem oddzielić lwa od widzów, ku którym rwał się widocznie, chcąc się zemścić na tym, co go drażnił; a sam zaczął przemawiać łagodnie do lwa, i prędko go uspokoił. Wielkie było bowiem zadziwienie nietylko gości, ale samego nawet właściciela, że Fredzio takiej sztuki dokazał.

Gdy państwo odeszli po za zasłonę, którą lwa zakryto, pani krzyknęła z przerażenia i widocznie siły ją opuszczały. Służba przyskoczywszy zaczęła ją trzeźwić, i wkrótce przyszła do siebie. Ach! zawołała: ten śliczny chłopczyk przypomniał mi mego Fryderyka! i on by był już w tym wieku dzisiaj!.. Porzuć te myśli siostro! odezwała się dumna pani, czy chcesz je-

szcze by ludzie o tem wiedzieli? Co tobie nie przestaje roić się po głowie! uspokój się więc i zaniechaj tych scen niepotrzebnych.

Rozmowę prowadzono w języku angielskim, który właściciel menażeryi rozumiał, postrzegł tenże, gdy trzeźwiono omdlewającą, że rysy jej twarzy, były prześliczne, lecz blade i wycieńczone, a dobroć i łagodność na jej twarzy były wyryte. Był to kontrast do tej drugiej pani, co z nią była i do dumnego chłopczyka, oni bowiem nie przypuszczali aby jakieś związki krwi, mogły ich łączyć z biednym Fredziem.

Lwa uspokoił wkrótce chłopiec niewychodząc z klatki. Przybyli państwo chcieli go jeszcze widzieć. Podniesiono znowu zasłony i ujrzano chłopca, który głaskał lwa i rozmaite mu rozkazy dawał, a on je wszystkie wypełniał. Małego panicza nie dopuszczano już blisko, dumna pani z jednej a ten pan z drugiej strony trzymali go za ręce. Czarno zaś ubrana pani obrócona ku klatce, przypatrywała się bacznie nie wiadomo czy lwu, czy chłopcu, który go poskromił, tylko od czasu do czasu, ciężkie wydawała westchnienia. Wkrótce potem państwo odjechali, pożegnani przez zadowolonego właści-

ciela menażeryi, z ofiarowanego mu wynagrodzenia.

Całą tę rozmowę słyszał i rozumiał pan Kasanowa.

Smutek, czarno ubranej pani, kilka słów wymówionych przez nią, a dotyczących wieku chłopczyka, jako też pilne jej w niego wpatrywanie się, w końcu omdlenie, które jej rodzina przypisywała przerażeniu widokiem rozgniewanego lwa, zajęły całą myśl pana Kasanowy. Teraz szukać zaczął związku tego wszystkiego z opowiedzianą przeszłością ulubionego chłopczyka, i bądź co bądź, postanowił sobie, nikomu nic nie mówiąc, nawet własnej żonie, poświęcić czas jakiś na dochodzenie tej tajemnicy.

VI.

Kto byli ci państwo co zwiedzali menażeryą łatwo się było dowiedzieć w mieście. Była to bogata rodzina mieszkająca w spaniałym zamku, położonym w tej okolicy. Właścicielką jego była Hrabina F... słynąca z piękności, dobroci i była bezdzietną. Oprócz zamku, posiadała rozległe dobra na Litwie i w Poznańskim. Towarzysząca jej Baronowa B... z mężem i synkiem, była

krewną najbliższą jej męża i spadkobierczynią jej ogromnej fortuny.

Dowiedziawszy się tego wszystkiego w mieście, pan Kasanowa postanowił dojechać do tego miejsca, aby w nim dalsze czynić poszukiwania, dla odkrycia tajemnicy, która go tak mocno zajęła. Po kilku dniach wybrał się w tę podróż, urządziwszy sobie do niej wózek jednokonny aby nie potrzebował z sobą brać nikogo i był w tej podróży bez świadków. Nie tracąc czasu, wyjechał w tę okolicę, gdzie leżał ów zamek, a którego starożytna architektura z basztami i wieżycami z dala ukazała się jego oczom. Przybywszy do wsi, zatrzymał się w niedaleko od zamku zbudowanym domu zajezdnym, którego uprzejmy gospodarz, widząc podróżnego, wyszedł na jego spotkanie. Pan Kazanowa niedał się długo prosić, wszedł do wskazanego mu przez gospodarza gościnnego pokoju, konia zaś z wózkiem, odebrał zawołany przez gospodarza parobek i zaprowadził do stajni.

Gospodarz zajezdnego domu był dawnym marszałkiem dworu tego zamku. Człowiek rozmowny i uprzejmy bardzo się nadał panu Kazanowie do jego poszukiwań. Niewydając się

z swą myślą, a chcąc od rozmownego gospodarza jak najwięcej się dowiedzieć, prosił o butelkę wina i do towarzystwa zaprosił gospodarza.

Przy kieliszku zawiązała się rozmowa. Gość zaczął rozpytywać o okolicę, o zamek i jego mieszkańców. Gospodarz, jako dawny sługa tego domu, mógł najwięcej szczegółów dostarczyć panu Kazanowie do jego poszukiwań, dla wybadania obszerszych i dokładnych wiadomości i odwikłania tajemnicy.

Podług opowiadania gospodarza, dziedzicem tych rozległych majętności i zamku, był hrabia F. młody, piękny i wykształcony człowiek. Jedynak, po rodzicach w młodym wieku oddziedziczył te rozległe dobra i nie tylko że nieuszczuplił swej fortuny, lecz dobrym zarządem jeszcze ją powiększył. Ożenił się z księżniczką C... po której również znaczną majętność dostał w posagu. Małżeństwu temu najszczęśliwsza otwierała się przyszłość. Oboje młodzi, piękni, bogaci, a do tego niesłychanej dobroci, uwielbiani byli przez całą okolicę. Wszyscy słudzy w ich domu byli dla nich z najwyższą czcią i nieograniczonem przywiązaniem. Zamek był pełny zawsze gości, uprzejmie przyjmowanych.

W drugim roku najszczęśliwszego pożycia dał im Bóg syna, którego narodzenia z najżywszą radością oczekiwano, a jedynem ich pragnieniem było, aby go jak najlepiej wychować.

Wyznaczono w najcichszym miejscu osobny pokój, w którym umieszczono dziecko z mamką i całą dla niego posługą. Przyjęto niemłodą już kobietę, dla lepszego dozoru i opieki nad tem nieuowlęciem. Osobę tę przyjął hrabia z polecenia najbliższej krewnej swojej Baronowej S. która, na wypadek śmierci hrabiego odziedziczyć miała po nim jego fortunę.

Dziecko wychowało się zdrowo, rodzice uszczęśliwieni byli jedynakiem, któremu na chrzcie dano imię Fryderyk. Hrabina największą część dnia spędzała w pokoju dziecka. Hrabia niewyjeżdżał nigdzie z domu, oprócz czasami na polowanie, które lubił. Pani baronowa rzadko się tu pokazywała, ograniczając się tylko na listach pisywanych do hrabiny, w których troskliwie dopytywała się zawsze o zdrowie jedynaka.

Tak przeszedł rok cały szczęśliwie, najmniejsza chmurka nie zasępiła czoła hrabiny i jej męża. Razu jednego hrabia wybrał się na polowanie, a choć go żona prosiła, aby to na inny

dzień odłożył, odpowiedział jej, że zaprosił jednego z dobrych przyjaciół mieszkającego o parę mil tylko, a który dla skrócenia drogi miał prosto przyjechać do kniei, albowiem w tym dniu zarządzono polowanie. Hrabina nie mogła się więc temu sprzeciwiać, uznając słuszność odpowiedzi męża. Rozstali się więc państwo z sobą po czułem pożegnaniu. Hrabina powróciła z krużganku, do swoich pokojów. Wtem jakaś tęsknota i smutek ją ogarnęły, z których, sprawy sobie zdać nie mogła. Tylko widok uśmiechającego się małego Fryderyka, rozweselił ją na chwilę. Niedługo jednak tą razą bawiła w pokoju dziecka, a odszedłszy usiadła w fotelu swego przepysznego buduaru i łzy rzewne z oczu się jej puściły. Pierwsze to były łzy, które od czasu jak została żoną hrabiego, wypłynęły z jej oczów, choć na razie, powodów do płaczu nie miała.

Cały ten dzień była niespokojną. Stary zamkowy lekarz, dawny przyjaciel domu, widząc to smutne usposobienie hrabiny, polecił jej, aby się położyła do łóżka, że to wkrótce przejdzie, zalecił jakieś lekarstwo dla uspokojenia nerwów, a których rozdrażnienie przypisywał innej przyczynie.

Tęsknotę hrabiny wyjaśnił dopiero wieczór, w którym dano znać do zamku, że hrabia raniony na polowaniu, i że go tu już wiozą. Nie powiedziano tego jednakże zaraz biednej żonie, aby nie powiększyć jej cierpienia. Kazano przyrządzić w zamku osobny pokój dla niego, zanim by hrabina, o tem się dowiedziała. Doktor pospieszył natychmiast na jego spotkanie i ujrzał hrabiego na myśliwskim wozie leżącego, po którem spływała krew z przestrzelonego boku. Chory był bezprzytomny i dawał małe tylko oznaki że żyje. Ruch wozu pomnażał bardziej wybuchy krwi i dla tego, doktor rozkazał sporządzić ludziom na prędce nosze, na które włożono hrabiego i odniesiono do zamku w największej cichości przed żoną, której nie chciano zasmucić tak bolesnym wypadkiem.

Na drugi dzień dopiero z rana doktor oznajmił ostrożnie hrabinie o wypadku jej męża nie dodając nic przy tem, że wypadek ten, nie może się inaczej, jak tylko śmiercią zakończyć. Padła bez życia prawie, na tę smutną wiadomość. A nim ją zdołano do przytomności przyprowadzić, hrabia żyć przestał.

Hrabinę po przywróceniu do przytomności

musiano znowu położyć do łóżka, tak była chorą i bezsilną. Natychmiast wyprawiono sztafetę do baronowy S. z uwiadomieniem o tym smutnym wypadku. Pospieszyła tedy natychmiast, nie z wielkiej czułości, którą dla kuzyna zawsze okazywać się starała, lecz tylko dla tego, że czując się spadkobierczynią jego ogromnej fortuny, na wypadek bezdzietności hrabiego, roszczyła sobie najpierwsze prawo, do objęcia opieki nad jego dziecięciem a bardziej jeszcze, nad jego fortuną, do której posiadania, to dziecko, było jej jedyną przeszkodą.

Przybywszy do zamku udała się najprzód do złamanej boleścią hrabiny, przy której wysiłała się na pocieszenia jej w tem nieszczęściu, otoczyła ją największą troskliwością i staraniem o jej zdrowie. Rzewne łzy wylewała z nią razem i prawie na chwilę jej nie odstępowała. Baron zajął się natychmiast urządzeniem najwspanialszego pogrzebu, na który cała zjechała się okolica. Wszyscy żałowali hrabiego i rozmawiali o wypadku, z jakiego zakończył życie, lecz przyczyny właściwie nieznano. Strzał był z boku wymierzony. A przypuszczać nawet nie można, aby był umyślny, bo hrabia nie miał

w życiu żadnego nieprzyjaciela, a nikogo z tych, co byli na polowaniu posądzić o to nie można było. Skończyło się na tem, że wszyscy przyznali, iż przypadek nastąpił wskutek własnej hrabiego nieostrożności. Miał bowiem zwyczaj stojąc na stanowisku, opierać się na strzelbie. Być więc mogło i teraz to samo, że gdy stał na stanowisku, oparty o rurkę nabitej strzelby, przypadkiem zaczepił o jaką gałązkę, i strzelba wypaliła, co potwierdzało jeszcze i to, że z jednej tylko rurki wystrzelono.

Po pogrzebie baron odjechał do domu, baronowa zaś, została przy chorej hrabinie. Korzystając zaś z jej słabości i powolności, stopniowo owładnęła wszystkiem i w niedługim czasie była już jakby u siebie. Hrabina powstawszy po długiej chorobie, nie mogła spostrzedz z razu tej odmiany w domu własnym, jaką sprawiły samowładne rządy baronowej, a która jej zawsze okazywała wiele troskliwości.

Dziecię, hrabina chciała mieć ciągle obok siebie i niem sama się zajmywać. Baronowa odradzała jej tego, wymyślając różne do tego powody: to, że dziecię nie da jej spokoju, którego dla jej zdrowia potrzeba, bo ciągle jest płaczące;

to znowu że blizko niej, wyziewy dziecienne i mamki prostej wieśniaczki, bardzo szkodliwie mogą na jej zdrowie wpływać. Hrabina niechętnie uległa jej namowom, chociaż dnie prawie całe spędzała u dziecinnej kolebki. Noc tylko przepędzała w swoim pokoju, a większą część nawet trawiąc we łzach na modliwie.

Wspomnieliśmy już, że dziecko umieszczone było w dalszej części zamku, przy narożnej baszcie, pod którą ciągnął się mur okalający zamek. Wtym murze znajdowała się furtka, która zawsze była zamkniątą i nikt tamtędy niewychodził. Pewnego ranku znaleziono furtkę tę wyłamaną, i kołyskę w pokoju próżną, zaś kobiety zostające przy dziecku w największej rozpaczy. Dziecię skradziono.

Łatwo sobie wyobrazić, co się z biedną matką działo. Rozesłano natychmiast konnych posłańców w różne strony, którzy w kilkomilowej odległości przeszukali wszystkie najtajniejsze zakątki, lecz dziecka nigdzie nie znaleziono. Nawet władze policyjne nie zdołały odkryć śladów, w którą stronę je uprowadzono, pomimo znacznej sumy, jaką hrabina ofiarowała za znalezienie dziecka. Od tego też czasu nie zrzuca

żałoby, którą wdziała po śmierci męża, będąc od lat jedynastu wdową.

Że zaś aktem ślubnym, zapewniono jej na wypadek ich bezdzietności w małżeństwie, posiadanie wszystkich mężowskich dóbr aż do śmierci, nikt więc nie ma prawa wyzuć jej z tychże póki żyje. Jest więc tu dotąd panią. Lecz baronowa, mając się dziś już za spadkobierczynię fortuny swego kuzyna, osiadła tu zupełnie z mężem i synem dwunastoletniem chłopcem, i samowładnie rządziła wszystkiem. Z hrabiną zawsze odgrywała komedję, zasypując ją nieustannie swemi czułościami i udaną troskliwością tak, że hrabina nawet się nie spostrzegła, jak została owładniętą wszelakimi machinacjami baronowej, celem wytrącenia jej najzupełniej z dożywotniego zarządu w majątku.

Na męża swego zdała zarząd dóbr hrabiny, którego jednak ściśle kontroluje i dochodami z nich pod imieniem hrabiny sama rozporządza, zasłaniając się jej wolą. Synek zaś jest to złośliwy panicz, kapryśny i samowolny, a do tego dumny jak matka, i każdym gardzi, którego od siebie, za niższego uważa.

Gdy gospodarz zajezdnego domu mówić

przestał, pan Kazanowa prosił go, by kazał dać drugą butelkę wina i posiedział z nim dłużej jeszcze, tak miło mu czas schodził, słuchając tego dziwnego opowiadania. Przytem pomyślał sobie, że hrabina nie musiała jeszcze stracić nadziei odzyskania syna, choć dotąd i śladu po nim ni odkryto.

Gospodarz nadszedł z nową w ręku butelką wana, a pan Kazanowa nalawszy z niej w kieliszki, wypił w ręce gospodarza, a drugi jemu podał. Zawiązała się nowa rozmowa o tym samym przedmiocie. Nareszcie pan Kazanowa zapytał: Więc przez lat dziesięć nie natrafiono na żaden ślad, po którym by odszukać było można skradzione dziecko?

I owszem, odezwał się gospodarz. Nasze usilne i nieustanne starania doprowadziły do odkrycia, że w czasie, kiedy skradziono dziecko, w poblizkim lesie rozłożony był cygański obóz. Prawdopodobnie więc, jeden z cygańskiej bandy podkradł się do zamku w nocy, i pochwyciwszy dziecko uniósł je z sobą. Najpewniejsi, że małe hrabiątko wkrótce też żyć przestało.

Nie zdaje mi się to, odpowiedział pan Kazanowa z powątpiewaniem. To zupełnie nie jest

wyjaśnionem. Takie rzeczy potrzebują niezbitych i wyraźniejszych dowodów. Pan mówisz, że baronowa i jej syn, są po śmierci syna hrabiego, jedynymi jego spadkobiercami, to dla czegóżby nie mogło być, aby baronowa, dla zapewnienia sobie i synowi swemu, tego pięknego dziedzictwa małego Fryderyka, nie dopomogła usunąć dziecko, jako przeszkodę do zagrabienia już prawie jego majątku.

Ach Boże! co pan mówisz? zawołał gospodarz z przerażeniem. Pani baronowa jest w istocie kobietą niedobrą, dumną i chciwą, ale o taką zbrodnię, nikt jej posądzić nie śmie. Zresztą ona tyle okazuje przyjaźni naszej biednej hrabinie! Nie! to być nie może!...

Nie gniewaj się, panie gospodarzu za to co powiem, odpowiedział pan Kazanowa. Czyż to podobne, aby nikt nie słyszał, gdy się złodzieje do zamku dobierali? Ani mamka, ani bona, ani nikt z należących do służby!

Tak jest w samej rzeczy jak pan sądzisz, odpowiedział gospodarz. Mamka, bona i wszyscy ludzie szczegółowo pytani byli. Mówią że gdy się obudzili, ujrzeli okno otwarte i kołyskę próżną. Za sen ręczyć nikt nie może.

Zapewne, odpowiedział pan Kazanowa: kiedy się sen jeszcze jakim trunkiem wzmoże.

Gospodarz pobladł jak śnieg. O! Boze! byłożby to możliwe, zawołał. Pokusa pani baronowej musiałaby być bardzo silna i... byłoby to już okropne i haniebne.

Aby osiągnąć bogate dziedzictwo, gorsze jeszcze rzeczy się dzieją! odpowiedział pan Kazanowa. Ale, cóż mnie to już ma obchodzić co się stało! dziękuję panu, panie gospodarzu za to ciekawe opowiadanie. Tymczasem zapomnijmy oba o niem. Dobranoc panu!

Temi słowy pożegnał pan Kazanowa rozmownego gospodarza i wyszedł zostawiwszy go samego.

Pan Kazanowa dość się szczegółów dowiedział, a z tego co słyszał, był pewnym, że jego ulubieniec, znajdzie swą matkę i z nią odzyska należne sobie dziedzictwo. Cieszył się już zawczasu tem szczęściem, jakiego dozna chłopiec, którym widocznie Bóg się opiekował, kiedy go ochronił od tylu i tak strasznych wrogów czyhających na jego niewinne życie. Nie miał więc co dłużej czekać. Na drugi dzień zrana, zapłaciwszy gospodarzowi za nocleg, kazał zaprządz

swego konika do wózka i wyjechał z wioski. Koło północy przybył do miasta utwierdzony w przekonaniu, że pani baronowa B. była główną tej zbrodni przyczyną.

W tym samym dniu, w którym pan Kazanowa powracał do domu, wstęp do menażeryi był wcześniej zamkniętym niż zwykle. Było bowiem tego wieczoru jakieś widowisko w mieście, na które pani Kazanowa, wszystkim ludziom pójść pozwoliła. Ulubieniec lwa, sam się ofiarował przez tę noc czuwać na straży przy zwierzętach. Poszli więc wszyscy zostawiając samego tylko Fredzia. Po wieczerzy, którą mu pani Kazanowa tam posłała, obszedł w około wszystkie zwierzęta, które spały lub leżały spokojnie w swoich klatkach. Pogłaskał na dobranoc swego lwa, i zapaliwszy nocną latarnię zawieszoną po środku budy, zabierał się do spoczynku. Wyciągnął materac i położywszy go w miejscu, gdzieby blask lampy nie dosięgał, położył się na nim i wkrótce ujął go sen głęboki.

Koło północy, gdy gwar na ulicach miasta już ustał, ludzie co poszli na widowisko, jeszcze nie powrócili; pewni, że nikt w nocy do menażeryi się podkraść nie powinien, nie chcąc

się narazić na spotkanie z tylu drapieżnymi zwierzętami.

Po skończonem widowisku wstąpili jeszcze do gospody na ugaszenie pragnienia. Podczas tego ktoś obcy podstąpił pod parkan menażerji od ulicy, i szukał najłatwiejszego miejsca, aby wejść do środka. Znalazłszy deskę niezbyt mocno założoną, wyjął ją ostrożnie, a czego nie słyszał wcale mocno spiący chłopiec. Przesunął się potem na brzuchu, po pod wozy stojące pod samym parkanem i tak się przyczołgał aż do spiącego chłopca, którego związał i uchwycił za gardło. Chłopiec obudzony z twardego snu, ujrzał okropną twarz cygana. Jakie było jego przerażenie odgadnąć łatwo, gdy po kilku latach rozstania, czuł się już bezpiecznym od prześladowcy swego, a tu najniespodziewaniej w tej chwili, jest w jego mocy.

Bartłomiej! krzyknął chłopiec w największej trwodze.

Tak, to ja jestem chłopczyku! odpowiedział z uśmiechem dziki i okrutny ten człowiek, ha! mam cię znowu w swojej mocy, z której nikt cię już więcej nie oswobodzi! nie ujdziesz zemsty mojej.

Nadaremnie chłopiec silił się wydobyć z rąk cygana, który spiącego, mimo oporu związał przyniesionym powrozem. Bartłomiej urągał się jeszcze z jego niemocy.

Naprożno się szamoczesz! mówił. Kiedy jesteś w mojej mocy, już mi nie ujdziesz więcej. Wyniosę cię z tąd na barkch moich.

I zabierał się już cygan do wykonania tego, co powiedział. Pochylił się, aby go dźwignąć z ziemi, chłopiec z przerażeniem na całe gardło o pomoc wołał.

Milcz! albo życie stracisz w tej chwili! rzekł cygan, dziki wzrok utopiwszy w swoją ofiarę.

Lecz zaledwie tych słów kilka dokończył, rozległ się okropny ryk lwa, i sztaby żelaznej klatki łamać się zaczęły. Przypomniał sobie dopiero chłopiec jedynego przyjaciela, na którego, w tej chwiili rachować może. Zawołał więc dobywając ostatniego głosu: Na pomoc przyjacielu! przychodź tu! na pomoc! na pomoc!

Drugi okropny zagrzmiał ryk lwa, i w tej chwili pękły pod jego olbrzymią siłą ostatnie żelazne sztaby klatki, wyskoczył z niej, rzucił się na cygana, którego jednem uderzeniem swej

łapy powalił na ziemię, drugą położywszy na piersi cygana, obrócił się do chłopca jakby oczekują jego rozkazu, co ma z nieprzyjacielem jego uczynić.

Zostaw go przyjacielu i nic mu nie czyń złego, odezwał się do lwa chłopiec. Połóż się tu, tak, tak mój przyjacielu!... A ty Bartłomieju ani się porusz nawet z miejsca! bo cię lew w kawałki rozszarpie! Nędzniku! teraz ty jesteś w mojej mocy!

Twarz leżącego na ziemi cygana zmieniła się od strachu i przerażenia. Poglądał z trwogą na lwa, który leżał obok niego i pilnował go swym wzrokiem, niedając się poruszyć.

Nie wiedziałeś pewnie o tem Bartłomieju, jakiego mam doskonałego koło siebie stróża i najwierniejszego przyjaciela! Drzyj więc teraz zdrajco! Nie wyjdziesz stąd żywy, póki nie odkryjesz tajemnicy, dotyczącej mego urodzenia, od której zależą przyszłe losy moje. Godzina twoja nadeszła! Ciebie się już teraz nie obawiam, teraz ty drzyj przedemną!

Cygan nie odpowiedział na to wszystko ani słowa. Zgrzytał tylko zębami, ważąc w swej myśli to, co słyszał z ust chłopca, popartego tak

silną potęgą, jaką był olbrzym puszczy, pilnujący go teraz. Wkrótce usłyszano turkot zbliżającego się wozu, który stanął przed wrotami menażeryi.

W tymże, powrócił z podróży pan Kazanowa i stanął w samą porę, aby być świadkiem wyraźnego cudu, jaki się stał podczas niebytności jego, gdy lew stanął w obronie przyjaciela swego w chwili, gdy miał być zdradziecko porwany.

Wysiadłszy więc z wózka zastukał we wrota.

Kto tam? odezwał się głos chłopca.

Otwórz mi synu! to ja powracam, odpowiedział pan Kazanowa.

Ach! to pan? zawołał chłopiec z radością. O! to się pan zdziwi jak tu wejdzie, a zwróciwszy się do leżacego cygana zawołał rozkazującym głosem: Rozwiąż mnie teraz, zdrajco!...

A czyż ja mogę? kiedy lew mnie pilnuje! odpowiedział trwożnie cygan.

Nic ci przy mnie nie zrobi, odrzekł chłopiec, i zawołał na lwa, który się zbliżył do niego i patrzał jak cygan rozwiązywał węzły.

Teraz pilnuj go przyjacielu, rzekł do lwa chłopiec, pokazując palcem na cygana, a sam

poszedł otworzyć wrota, któremi wszedł pan Kazanowa do wnętrza.

Patrzno pan, odezwał się chłopiec do pana Kazanowa, jakiego tu mamy gościa! i jakiego koło niego stróża! I w krótkich słowach opowiedział przybyłemu wszystko, co się stało.

A to Bóg go nam oddaje w ręce właśnie w chwili, kiedy nam najpotrzebniejszy! odpowiedział pan Kazanowa. Bo żebyś wiedział moje dziecko, iż ja mam dla ciebie ważne bardzo wiadomości, które mają związek z tym o to, niecnotą! do którego zwracając się rzekł: Wiem wszystko o tobie i o tym chłopcu. Próżno byś zaprzeczał temu! Dziecko, które wykradłeś i wydziedziczyć chciałeś na rozkaz baronowy B. jest oto ten chłopiec, który jest hrabią Fryderykiem F.

Zmieniła się twarz cygana, gdy usłyszał te słowa wymówione przez pana Kazanowa. To jest nieprawdą! zawołał zdumiony.

Łotrze! mówił dalej pan Kazanowa. Niezapieraj się więcej, i pamiętaj, żeś w naszej mocy. Życie twoje wisi na włosku. Na jedno bowiem tylko skinienie hrabiego Fryderyka, ten lew rozszarpie cię w tejże chwili! Lecz toby jeszcze

najmniejszą karą było za twoje zbrodnie. Życie jednak możemy ci darować i nie tylko życie, ale i wolność, jeżeli z całą szczerością wyznasz wszystko. A teraz mów, albo hrabia i ja wyjdziemy ztąd natychmiast, zostawiając cię z lwem, który się prędko z tobą upora! I ty zwlekasz jeszcze?... Chodźmy ztąd. Nie potrzebujemy go już więcej. Mamy bowiem i bez jego zeznania dostateczne dowody!

Nie mówiąc nic więcej zabierali się do wyjścia. Wtem lew się poruszył i utkwił w cygana swoje żółte iskrzące oczy, które nakoniec przełamały upor Bartłomieja.

Stójcie! zawołał: teraz wam wzzystko powiem!

Jest to jedyny ratunek dla ciebie, powiedział pan Kazanowa. Mów więc! Czy chłopiec ten jest synem hrabiny F...?

Tak! on nim jest, odpowiedział cygan.

I ty go ukradłeś?

Ja nie! jam tylko uniosł go z sobą. Ukradł go zaś kto inny.

A tą osobą była baronowa B... I cóż za powód miała do tego?

Chciała tym sposobem pozbyć się dziecka

hrabiny, aby zapewnić bogaty spadek dla syna swego Oskara.

Tak jest, powtórzył Kazanowa, to jest prawdą. Słuchaj więc Fryderyku: Oskar to jest ten sam chłopczyk, który lwa rozdraźnił uderzeniem biczyka po głowie. I w tem leży palec Boży. Uderzenie lwa rozbudziło w nim gniew tak, że zaczął szarpać sztaby żelazne klatki i nawet je w niektórych miejscach połamawszy, mógł się prędko z niej wydobyć i pospieszyć na twój ratunek. Chwila bowiem spóźnienia, a byłby cię cygan ztąd uniósł związanego. Powiedz więc teraz Bartłomieju, cóż cię spowodowało do takiej usługi dla baronowej?

Wielka nagroda, którą miałem przyobiecaną, jako też bojaźń, odpowiedział cygan. Gdybym się był wahał, i nie uczynił dla niej tego, mógłbym wisieć. I teraz nawet obawiam się, że może to nastąpić.

To się niestanie, bośmy ci życie przyrzekli, odpowiedział pan Kazanowa. Twoje zaś przeszłe zbrodnie odpukutować jeszcze możesz. Obrachunek sumienia twego należy do Boga. Teraz zaś powiedz jeszcze, co cię powodowało,

abyś tej nocy tu przyszedł i próbował pochwycić śpiącego chłopca?

Baronowa mi to rozkazała. Była tu przed kilku dniami i poznała w chłopcu, młodego hrabiego, którego pozbyć się chciała koniecznie. Jej nalegania i obietnice zmusiły mię, aby wykonać jej wolą. Ona bowiem rozkazała mi, chłopca sunąć ztąd. A ja musiałem jej być posłusznym.

Tego przekonania i ja byłem, odrzekł pan Kasanowa. Na teraz, dość już mamy tych wiadomości. Jutro rano to samo zeznać musisz w obecności obu pań to jest, hrabiny i baronowej, i wtedy dopiero będziesz wolnym. Nie obawiaj się niczego! baronowa jest również w naszej mocy, jak i ty. Nie potrzebuję powtarzać com już powiedział, że ci ręczę za twoje życie i wolność, a hrabia Fryderyk da ci jeszcze nadto pewną sumę, która ci byt w obcym kraju zabezpieczy. A teraz Fryderyku nim ja się z cyganem ułatwię, wyprowadź ztąd lwa".

Temi samemi powrozami, którymi Fryderyk był związany, skrępowano cygana z pomocą ludzi, którzy właśnie nadeszli na tę scenę. Cygana zamknięto w jednej z żelaznych klatek

menażeryi, która była próżną; i dopiero wtedy pan Kasanowa opowiedział Fryderykowi to wszystko, co się dowiedział od gospodarza oberzy zamkowej.

Reszta nocy przeszła bezsennie Fredziowi, który był do żywego wzruszony temi wypadkami, co stanowiły o przyszłych jego losach. Z nadejściem ranka, pan Kasanowa zajął się przygotowaniem do podróży, którą odbyć mieli do zamku hrabiny. Żonie swojej powiedział o wszystkiem, i że na kilka dni odjeżdża z domu; a póty nie powróci, dopóki nie wprowadzi Fryderyka do jego rodzinnego gniazda i nie osadzi go na dziedzictwie, przekazanem mu po jego dostojnych przodkach.

Sprowadzono z miasta dwa powozy, jeden dla pana Kasanowy, który miał jechać z Fryderykiem, a w drugi posadzono cygana i dwóch ludzi, co go pilnować mieli w drodze, by mu czasem nie przyszła ochota uciekać, i ocalić tym sposobem siebie i baronowę, której zemsty obawiać się nie przestał.

W trzy godziny potem, powozy wjechały w główną zamkową bramę i stanęły przed wielkiemi schodami pałacu hrabiny. Serce Fredzia

zadrżało w chwili, gdy się losy jego rozwiązać miały. Wzruszony szedł po schodach obok pana Kasanowy a za nimi prowadzono cygana.

W wielkiej sali zamkowej zatrzymali się wszyscy, pan Kazanowa oświadczył służącemu, że chce się widzieć z hrabiną. Proszę jej powiedzieć, rzekł: że właściciel menażeryi Kasanowa przybył i ma pani hrabinie ważnych udzielić wiadomości.

Choć to była jeszcze dość wczesna przedpołudniowa pora, hrabina rozkazała wprowadzić pana Kasanowę, Fredziu zaś i cygan ze strażą zostali w sali, zawieszonej portretami dawnych dziedziców tego zamku, a którym młodzieniec z bijącem sercem się przypatrywał. Na końcu zobaczył portret młodego jeszcze mężczyzny, o pięknych rysach twarzy, w myśliwskiem odzieniu, a obok niego mały portrecik czarną zakryty zasłoną. Podniósłszy zasłonę Fryderyk, ujrzał twarz dziecięcia w piełątkach. Z opowiadanej przez pana Kasanowy historyi o zamku i jego mieszkańcach, domyślił się łatwo, że to jego własny portret, robiony w tej porze, gdy był otoczony opieką matki, od której go tak barbarzyńskim sposobem wydarto. Łzy mu stanęły

w oczach wspomniawszy sobie być w dzieciństwie od niej zdala przepędzonem w nędzy i poniżeniu.

W tem otwarły się raptem drzwi, któremi wszedł do pokojów hrabiny pan Kasanowa i ona sama spiesznie z nich wybiegła i pochwyciła w uściski swego chłopca, nieprzygotowanego jeszcze na takie z nią spotkanie. Pan Kazanowa zostawił go umyślnie w sali, chcąc pierwej uprzedzić hrabinę o tem, że przyprowadza syna, którego już za zaginionego uważała.

Synu mój! to były słowa, które wykrzyknęła hrabina wbiegając do sali, i ściskać go zaczęła. Niewysłowiona błogość i radość zajaśniały na jej twarzy, w której tak długo tłumiła macierzyńskie swoje uczucia. Radość matki i syna długo im mówić nie dała. Hrabina przyciskając do serca swojego Fredzia, objęła go swojemi ramiony, jakby się obawiała, by go kto od niej znowu nie odebrał. Z promieniejącem od szczęścia obliczem patrzała na pana Kasanowę i obecnych, którzy byli świadkami, że boleść jej i Fredzia niedola, skończyły się w tej chwili.

Jedno pytanie tylko mój synu! wymówiła hrabina. Fryderyku, dziecko ty moje! czy serce twoje czyste, i od występku dalekie? powiedz mi!

Chłopiec podniósł ku niebu swe piękne oczy; i rzekł: Czyste jest matko moja! dzięki niech będzie Najwyższemu, co wspierał kroki moje! dzięki dobrej Małgorzacie, która mię wychowała i dobrą wskazała drogę! dzięki tej książeczce, którą mi dała, nim ją Bóg do siebie zawołał, a ta książeczka, była mi jedyną pociechą w dolegliwościach życia. Dzięki dobrym ludziom, których życzliwością dla mnie Bóg natchnął! Tak! matko! sumienie mam czyste, i od zbrodni wolne: bom się zawsze o to starał, aby nie przestąpić przykazań Bożych, i rozmyślnie nie uczyniłem źle nikomu!

I znowu matka objęła za szyję syna i obojgom w uściskach łzy radości płynęły.

Mieszkańcy zamku dowiedzieli się natychmiast o szczęściu hrabiny i zbiegać się zaczęli, aby okazać z tego powodu radość swoją. Baronowa tylko jedna, dowiedziawszy się o tem, pobladła z przerażenia, bo tem zdarzeniem wysoka jej duma upokorzoną została, stawiając ją w obec wszystkich, jako wspólniczkę cygana w tej zbrodni.

Uszła więc tajemnie z swym synem z zamku, który jak za swoją własność od dawna już

uważała. Nie odważyłaby się bowiem na kłamstwo i zaprzeczenie w obec cygana i wszystkich niezbitych dowodów jej uczestnictwa w tem całem zdarzeniu. Bartłomieja zaś, jak to mu pan Kasanowa imieniem młodego hrabiego przyobiecał, wynagrodzono i na wolność wypuszczono.

Szczęśliwy syn z matką zatrzymali pana Kasanowę w zamku przez dni kilka, chcąc mu okazać swą wdzięczność i podzielić się radością, jakiej sam był sprawcą.

Dalsi i bliżsi sąsiedzi zjeżdżali się do zamku, dzielić radość hrabiny, a uczty następowały jedna po drugiej. Trwało to dość długo, a pan Kasanowa jako szczery przyjaciel młodego hrabiego nie odjeżdżał z zamku, zawiadomiwszy tylko żonę przez umyślnego posłańca, o tem wszystkiem, aby ją uspokoić o swojej nieobecności.

Gdy się skończyły uczty, hrabia Fryderyk wiedząc o tem, że pan Kasanowa miał zamiar sprzedać menażeryę i osiąść spokojnie na wsi, prosił go, aby pozostał przy nim i stale w zamku zamieszkał. Pan Kasanowa podziękował hrabiemu, lecz nie przyjął jego propozycyi, tylko upa-

trzywszy sobie piękną posiadłość w okolicy niedalekiej zamku, kupił ją i w niej osiadł. Menażeryę swoją zbył wprzód pewnemu przedsiębiorcy, lwa tylko z niej wyłączył; nie pozwolił hrabia bowiem na to, aby wybawiciel jego i tak wierny przyjaciel, jakim był lew, przeszedł na własność kogo obcego. Oświadczył więc panu Kasanowie, że sam zapłaci tę cenę i do zamku go sprowadzi. Pan Kasanowa nie chciał jednak przyjąć ofiarowanej sumy przez hrabiego, lecz podarował mu ten niezwykły okaz zwierzęcia, który tak pamiętał wyrządzonej mu krzywdy, a z drugiej strony, dał dowód przywiązania.

Sprowadzono lwa do zamku, i w jednej z baszt narożnych, w tej samej, od strony lasu, koło której, była owa pamiętna furtka w murze, którędy wykradziono z zamku dziecko hrabiny i urządzono tam dla niego daleko obszerniejsze pomieszkanie, niż było dotychczasowe w szczupłej żelaznej klatce. Tu każdego dnia przychodził hrabia, bawiąc się z lwem, który tak się był już oswoił, że go hrabia czasem wypuszczał na dziedziniec zamkowy z sobą, i sam go napowrót do jego mieszkania wprowadzał. Później za murem zamkowym urządzono park, otoczono grubą

żelazną kratą i tam wpuszczano lwa, mur zaś, gdzie była furtka, rozebrano i tamtędy zrobiono wejście do wieży, któremby lew mógł wchodzić do swego mieszkania, bawiąc się cały dzień w parku.

Tym sposobem hrabia wywiązał się z zaciągnionego długu wdzięczności swoim przyjaciołom, a pan Kasanowa odtąd był nieodstępnym prawie towarzyszem hrabiego. W końcu przypomniał sobie także Fredziu wioskę, w której się wychował, wszystkich, co w niej miał dla siebie życzliwych, i chciał jeszcze uronić łzę wdzięczności na grobie poczciwej Małgorzaty. Wybrał się więc w tę podróż wraz z matką i na grobie starej cyganki kazał położyć kamień z napisem: „Wdzięczny wychowaniec opiekunce swojej kamień ten położył“, poniżej zaś umieszczono dzień jej śmierci.

Poczuwał się jeszcze również do długu, wobec Uriela, nie zapomniał także ulubionej tancerki Fidelki. Oboje po długich staraniach odszukano. Uriela oddał hrabia do szkoły leśnej, w której wykształciwszy się, został potem dozorcą lasów w dobrach hrabiego.

Małą Fidelkę sprowadzono do zamku, i hra-

bina wzięła ją w swoją opiekę, a wkrótce potem wydała za mąż za jednego z dzierżawców w swoich dobrach. Hrabina dała jej wspaniałą wyprawę, hrabia zaś przyszłemu jej mężowi dziesięcioletni kontrakt podpisał na bezpłatną nadał dzierżawę w jego dobrach.

Tak więc hrabia nie tylko wszystkim tym, co w jego niedoli okazali się życzliwi, wypłacił się z wdzięcznością, lecz i tym, którzy katami jego będąc, przebaczył i chlebem za swoje cierpienia obdarzył. Matka nietylko nie sprzeciwiała się w niczem jego woli, lecz owszem sama mu w tem dopomogła. Oboje szczęśliwi wielbili opatrzność, która po tylu przebytych boleściach, tak wielką zgotowała im nagrodę. Hrabia przypisywał to Małgorzacie, której nauka, nie przestała być w jego sieroctwie jedynym przewodnikiem życia pomimo nędzy, w jakiej zostawał, pomimo zepsucia na jakie był wystawiony, pozostał bez żadnej na sumieniu plamy, wolny od występku i zbrodni.

KONIEC.

Z biblioteki dla młodzieży

wyszły następujące tomiki:

I. Sierota przekład **B. Dunina**
II. Przemytnik **B. Dunina**
III. Hrabia i Niedźwiedziarz **Pauliny Wilkońskiej**
IV. Nieopuszczaj kraju rodzinnego **B. Dunina**
V. Kochaj bliźniego swego „
VI. Wuj i siostrzeniec **St. Kunasiewicza**
VII. Nemezis
VIII. Głos Pana nad Pany
IX. Boże narodzenie **B. Dunina**
X. Plebanja **St. Kunasiewicza**
XI. W Karroo „
XII. Ten co po nad obłokami **St. Kunasiewicza**
XIII. Ciężka próba **R. Starkla**
XIV. Do czego za młodu nawykniesz, na starość jak znajdziesz **L. Antonowicza**
XV. Praca a złoto **St. Kunasiewicza**
XVI. Jaka praca, taka płaca **Juliana Topora**
XVII. Srebrnik **Roberta Riszki**
XVIII. W pobliżu bieguna **Dr. Lubary**
XIX. Pracuj a Bóg ci dopomoże **Romualda Starkla**
XX. Ze szwedzkich czasów **R. Riszki**
XXI. Popiel i Piast opowiadanie napisała **Leonia**
XXII. Mieczysław I. opowiadanie histor. **J. Poeche**

Cena tomiku w karton. 1 k. — gr.
„ „ oprawne w płótno 1 „ 20 „

Hoffman W. Obrazki z życia zwierząt Serya I. i II. w 6 obrazkami kolor. po 2 korony.